ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VIII. Nr 22/362

LONDYN, 30 MAJA 1954 R.

HANS GEORG SCHENK

LAMENNAIS (II)

Tragiczna postać Lamennais'go(1) jest symbolem niespełnionej obietnicy odrodzenia chrześcijaństwa w epoce romantyzmu. Oczywiście nie sposób w artykule opisać wszystkich kolei losu, jakie przypadły w udziale temu niespokojnemu człowiekowi w ciągu jego kariery, będącej przedmiotem wielu wnikliwych badań, wśród których wyróżniają się trzy tomy Abbé Boutarda, biografia Duine'a i nowe studium dra Vidlera.(2) Wszystko co mogę na tym miejscu uczynić, to zarysować i omówić główne problemy.

Słusznie zauważono, że Lamennais oddał religii ogromne usługi.(3) Widzieliśmy jak przez swój **Essai sur l'Indifférence en Matière de Religion** wniósł nowe życie do teologii katolickiej, zwłaszcza w dziedzinie apologetyki. Jednakże daleko bardziej ambitne były jego wysiłki zmierzające do obudzenia uwagi Kościoła na dwa wielkie zagadnienia współczesne, jakimi były liberalizm i ruch społeczny warstw robotniczych. Analogia do „obudzenia" jest na miejscu, bo w wielu krajach europejskich prałaci Kościoła katolickiego — podobnie jak przywódcy innych wyznań — pogrążeni byli w całkiem wygodnej drzemce. Prawda, że ich bezwład mógł być w części spowodowany wyczerpaniem po dłuższym okresie kryzysu, który znalazł swój punkt kulminacyjny w podporządkowaniu duchowieństwa państwu i w ataku Napoleona na Kościół. Kiedy reżym Restauracji w latach 1814/15 rozciągnął opiekę nad Kościołem i przywrócił niektóre z dawnych przywilejów duchowieństwa, było rzeczą jasną, że oferta została przyjęta. Nie ma jednakże wątpliwości, że Kościół pokładał zbyt wiele zaufania w siłach Restauracji, a zbyt mało ufał jej społecznym i politycznym przeciwnikom. Nie mogło ujść uwagi bystrych obserwatorów, takich jak Lamennais, że władcy Restauracji w wielu wypadkach używali religii jako **instrumentum regni**, dokładnie tak samo jak ów „mędrzec", który według sofisty Kritiasza odkrył, że wiara w bogów może działać jako skuteczny straszak. W roku 1830 Lamennais widział zagrażające niebezpieczeństwo zduszenia religii przez ciężką rękę rządowej opieki.(4) Co więcej, sojusz polityczny między Kościołem a władzą świecką mógł się okazać wątpliwym błogosławieństwem dla Kościoła w czasie gdy niekonstytucyjne akty dokonane przez Karola X we Francji — które otrzymały aprobatę Arcybiskupa Paryża (5) — doprowadziły nie do umocnienia, lecz do osłabienia reżymu Burbonów. Trzeba dodać, że Lamennais przewidział to wydarzenie na jakiś czas przedtem.

Wyglądało by więc na to, że Lamennais radził Kościołowi porzucenie sojuszu z reżymami Restauracji w Europie z dwu powodów. W pierwszym rzędzie widział on ukryte motywy sprzymierzeńców Kościoła. Po drugie, około r. 1830 doszedł do wniosku, że Kościół stawia na złego konia. Kiedy po Rewolucji Lipcowej 1830 r. Kościół przystosował się do burżuazyjnej monarchii Ludwika Filipa, Lamennais wciąż uważał, że oznacza to popieranie straconej sprawy. Istniała jednakże trzecia i decydująca przyczyna takiej postawy Lamennais'go w tym okresie. Najbardziej obawiał się on skompromitowania duchowej władzy Kościoła przez jego władzę doczesną. Należy pamiętać, że niektórzy z współczesnych mu wybitnych katolików, na przykład wielcy romantycy włoscy Alessandro Manzoni i Antonio Rosmini Serbati, byli tego samego zdania. Rosmini jednak przez długi czas wstrzymał się z wydaniem swego traktatu **O pięciu ranach Kościoła Świętego**, ukończonego w r. 1833.(6) Natomiast Lamennais, porywczy jak zwykle, w pełni objawił odwagę swych przekonań, gdy razem z grupą entuzjastycznych współpracowników zaczął wydawać **L'Avenir**, pierwszy dziennik popierający sprawę katolicyzmu. Wśród spraw politycznych gazeta walczyła o uciśnionych katolików w Belgii, Polsce i Irlandii. Pierwsze dwa z tych krajów były podówczas w stanie rewolucji przeciw swym holenderskim i rosyjskim panom. Jeśli chodzi o Irlandię, młody Montalembert — najzdolniejszy z uczniów Lamennais'go — który niedawno odwiedził ten kraj, ukazał w swoim artykule **Du catholicisme en Irlande**, że Emancypacja Katolicka nie usunęła okropnych metod, jakimi urzędowy protestancki Kościół Irlandii doprowadzał katolików do ubóstwa. A jednak katolicy irlandzcy byli wolni, choć biedni, i Montalembert podkreślał jak wiele sprawa katolicyzmu zyskała na zupełnym rozdziale Kościoła od państwa. To, że ów rozdział był tak zupełny, było w niemałej mierze zasługą śmiałego sprzeciwu Daniela O'Connella przeciw prądom gallikańskim w Irlandii, a nawet przeciw samemu Rzymowi w słynnej sprawie veta, t.j. „prawa" monarchy do wybierania katolickich biskupów Irlandii.(7) O szerokości zainteresowań **L'Avenir** świadczył także projekt założenia czegoś w rodzaju liberalnej międzynarodówki katolickiej z programem, który przypominałby program partii chrześcijańsko-demokratycznych w naszych czasach.

Słusznie czy niesłusznie — lub jeśli wolno historykowi wyrazić własny pogląd: na ogół słusznie — wydawało się Lamennais'mu i jego otoczeniu, że mniej więcej od r. 1830 najlepsza nadzieja na urzeczywistnienie gruntownego odrodzenia katolickiego leżała w zbliżeniu (**rapprochement**) między Kościołem i siłami liberalizmu, a nawet — co jest bardziej sporne — w obaleniu sojuszów (**reversement des alliances**), przez co Kościół wystąpiłby jako sprzymierzeniec sił liberalnych, które na razie były jeszcze rozrzucone po Europie, ale do których należała przyszłość. Ten sam numer **L'Avenir** (15. 11. 1831), który zalecał utworzenie owej liberalnej międzynarodówki katolickiej, zawierał jeszcze bardziej dalekowzroczną ideę, jaką było zwrócenie uwagi na obowiązek poprawy materialnych warunków klas niższych. Kilka dni przedtem w gazecie tej ukazał się artykuł napisany przez Charlesa de Coux, który stwierdzał, że problem proletariatu przemysłowego przesłania swym znaczeniem wszystkie inne sprawy.(8) Sam Lamennais ustawicznie powracał do tego tematu. „Ta ogromna kwestia pauperyzmu", jak ją nazywał, leżała mu kamieniem na sercu.

Gdyby Kościół posłuchał ostrzeżeń Lamennais'go i Charlesa de Coux, może dało by się uniknąć „tego wielkiego skandalu dziewiętnastego stulecia", jak to określił papież Pius XI, mianowicie utraty przez Kościół klasy robotniczej. Trudno nie żałować, że duch, jaki przyświecał encyklice Leona XIII **Rerum Novarum** (1891), nie został przyjęty przez Kościół w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego stulecia, gdy problemy społeczne stworzone przez rewolucję przemysłową były najbardziej palące. Właśnie w tym czasie Kościół wreszcie porzucił swój niefortunny opór (misguided stand) przeciw rewolucji naukowej. W r. 1835, prawie trzy wieki po swym ukazaniu się, dzieła Kopernika zostały zdjęte z indeksu librorum prohibitorum. Ale jeszcze prawie sześćdziesiąt lat miał świat czekać na **Rerum Novarum**. Ukazała się ta encyklika, gdy Kościół stracił swą władzę doczesną, a — jak przepowiedział Lamennais — znacznie zwiększył swój prestiż w sprawach ducha.(9)

Wracając do okresu po r. 1830: ostrzeżenia Lamennais'go nie tylko pozostały zlekceważone, ale encyklika papieska **Mirari vos**, ogłoszona przez Grzegorza XVI dnia 15 sierpnia 1832, ostro potępiła niektóre z głównych poglądów wyrażanych przez L'Avenir. Odrzucona została myśl o potrzebie odrodzenia Kościoła, jak i wolność publikacji, a zasada rozdziału Kościoła i państwa została potępiona. Jeśli chodzi o kluczowy ustęp zaczynający się od słów „Nasi najdrozsi synowie w Jezusie Chrystusie, książęta", można było się spierać — mówiąc łagodnie — czy dało by się go łatwo pogodzić z poglądami wyrażonymi w Kazaniu na Górze.(10) Jakby nie było, trudno nie sympatyzować z Lamennais'em, który domagał się dla siebie, jak i zresztą dla każdego katolika, prawa kwestionowania autorytetu papieża w sprawach polityki. „Czyż nie ma zasadniczej różnicy między polityką a religią i czyż jestem obowiązany wierzyć papieżowi w kwiestiach politycznych?" pytał w **Affaires de Rome** (1837). Kiedy szesnaście lat po śmierci Lamennais'go Sobór Watykański ogłosił i wyjaśnił nieomylność papieską, objęto nią tylko sprawy dogmatu chrześcijańskiego.

Rozczarowanie Lamennais'go w związku z negatywną postawą papiestwa zwiększyło się znacznie na skutek podejrzeń, że Grzegorz XVI uległ silnemu naciskowi wywartemu na niego przez świeckich władców. Że podejrzenia te były usprawiedliwione, nie można wątpić od czasu, gdy opublikowane zostały odpowiednie dokumenty w studium Adrien Boudou **Le Saint-Siège et la Russie, 1814 - 1847** (1922) i w książce Liselotte Ahrens **Lamennais und Deutschland** (1930). Zarówno car Mikołaj I jak i książę Metternich wywarli silny nacisk dyplomatyczny na Stolicę Apostolską, domagając się surowego potępienia **L'Avenir** i idej tam głoszonych. Dr Vidler przyznaje w **Prophecy and Papacy**, że nacisk ten był skuteczny: „chociaż Lamennais i Montalembert grubo upraszczali sprawę, uważając że papież myślał wyłącznie o swych ziemskich sprawach (temporal interests) ... i że potępienie **Avenir** nastąpiło jedynie dla przypodobania się mocarstwom europejskim..., trudno uwierzyć, że dyplomatyczne napomnienia czy sugestie robione Stolicy Apostolskiej nie były w ogóle brane pod uwagę".(11) Osobiście jestem skłonny uważać końcową część tej uwagi za pewnego rodzaju niedopowiedzenie. Zachowała się wiele mówiąca depesza wysłana do Metternicha 18 maja 1834 przez Lützowa, ambasadora austriackiego w Rzymie: „Jego Świątobliwość... polecił mi zakomunikować panu, że zawsze chętnie dowiaduje się pańskich opinii, które najbardziej ze wszystkich lubi znać i podług nich postępować". O kilka tygodni późniejsza encyklika papieska **Singulari nos**, stanowiąca najmocniejsze potępienie i kontratak przeciw **Paroles d'un Croyant** opublikowanym przez Lamennais'go wcześniej tego roku, była nawet w swoim brzmieniu zasugerowana przez Metternicha, który nie bez dobrych przyczyn ku temu oświadczył, że jest z encykliki bardzo zadowolony.(12) Na tym punkcie zgadzam się zupełnie z dr Vidlerem, który oświadcza: „...Lamennais miał pewną rację, kiedy uważał, że encyklika **Singulari nos** była spowodowana dyplomatycznymi czy politycznymi, a nie doktrynalnymi czy teologicznymi względami".(13) Tak więc wysiłki Lamennais'go zostały udaremnione właśnie przez przymierze papiestwa z polityczną reakcją, które nie bez racji uważał za szkodliwe dla sprawy katolicyzmu.

Wydarzenia, które nastąpiły w ciągu stu lat od śmierci Lamennais'go do naszych czasów, dowiodły słuszności najszlachetniejszych dążeń tego śmiałego myśliciela. Zaiste można powiedzieć o nim, że wyprzedził znacznie swój czas. Trzeba to było stwierdzić szczerze i niedwuznacznie. Ale nie mogę zgodzić się z tymi, którzy usiłują dopatrzeć się w postawie Lamennais'go zasadniczej konsekwencji.(14) Sainte-Beuve zapoczątkował tę zdumiewającą **tour de force**, opartą na twierdzeniu, że głównym i stałym celem Lamennais'go było odrodzenie społeczeństwa. Do pewnego stopnia jest to silny argument (i użyłem go sam w poprzednim artykule), ale trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że nie wyjaśnia on wszystkiego. Jakkolwiek Lamennais mógł być konsekwentny na tym ważnym punkcie, był on jak najbardziej niekonsekwentny w jeszcze ważniejszej kwestii wiary. Przez długi okres w jego życiu wiara, jeśli można się tak wyrazić, była górą. To wtedy właśnie był skłonny uwierzyć, że prawdziwe odrodzenie społeczeństwa może być zbudowane tylko na fundamencie katolicyzmu. Ale nawet w tym okresie zdawał się być ustawicznie rozdarty między wiarą a niewiarą. „Stale widziałem otwartą przepaść obok siebie; odwracałem od niej oczy", wyraził się w późniejszych latach do swego ucznia Eugène Boré.

Lamennais mógł mieć wiele powodów do niezadowolenia z politycznej postawy papieża, czy nawet ze sposobu, w jaki Rzym traktował jego własną sprawę. Ale to, że jeden i ten sam człowiek przybrał najpierw rolę szermierza chrześcijaństwa, a później odrzucił chrześcijaństwo w ogóle i uciekł się do mglistej mieszaniny deizmu, panteizmu i bałwochwalczej czci „ludu", świadczy nie o jego konsekwencji, ale o skrajnej niestałości w poglądach. Albo innymi słowy: cóż za jaskrawy kontrast obserwujemy między Lamennais'em w średnim wieku tłumaczącym **Naśladowanie Chrystusa** z dodaniem własnych pobożnych rozmyślań do każdego rozdziału i Lamennais'em w ostatnich latach życia, który — jak można sądzić — odwrócił umysł od Chrystusa.

Gdyby miał rzeczywiście silną wiarę, byłby gotów cierpieć dla niej raczej niż odrzucić ją. Lamennais jednakże, choć odznaczał się wybitną odwagą moralną nie był materiałem na męczennika. Cytowałem jego słowa do Eugène Boré o przepaści, jaką stale widział i od której odwracał oczy. „Ale — dodał znacząco — gdy poczułem, że jestem traktowany tak niesprawiedliwie i pogardliwie, znalazłem w sobie odwagę, by tę przepaść zgłębić."

Kaprysy jego umysłu i serca(15), które muszą być uważane za klucz do jego osobowości, odzwierciedliły się także w częstych zmianach zawodu. Zaczął jako nauczyciel, następnie przyjął kapłaństwo, później zyskał sobie sławę jako autor głębokich dzieł polityczno-religijnych, potem został dziennikarzem (i to najwyższego rzędu), a skończył jako polityczny pamflecista. W pewnym sensie jednak tendencyjna nuta pamflecisty była zawsze dostrzegalna w jego dziełach. Blondel słusznie wyraził się o nim: „Lamennais prawie zawsze myślał przeciw komuś".

Ostatecznym uczuciem, jakie ta fascynująca i niepokojąca postać pozostawia w moim umyśle, jest wrażenie głęboko nieszczęśliwego geniuszu. Bardziej niż którykolwiek z jego współczesnych, uosabiał on romantyzm, ten ostatni na miarę europejską ruch idej i uczuć. Świetny, czasem ekstatyczny styl; natchniona i niemal prorocza wizja; tęsknota do wiary i rozczarowanie religijne; optymizm odnośnie losów ludzkości paradoksalnie połączony z posępnym nastrojem **Weltschmerzu**; skłonność do rozmyślań niweczona przez nieuleczalny niepokój umysłu; ożywające nadzieje i zniechęcenie z ich nie wypełnienia; Lamennais zawiera w sobie całą gamę motywów przewodnich romantyzmu. Wiele z nich doprowadzonych jest do skrajności, ukazując siłę i głębię, a jednocześnie wewnętrzne rozbicie ruchu, który tak żarliwie pragnął harmonii, a nigdy jej nie osiągnął.

Hans Georg Schenk
(tłumaczył **B. Taborski**)

Przypisy:

(1) Drugi z serii dwóch artykułów w stulecie śmierci Lamennais'go. Pierwszy artykuł patrz: ŻYCIE nr 8/348 z 21. 2. 1954.

(2) Charles Boutard, **Lamennais: sa vie et ses doctrines,** Paris 1905-13; F. Duine, **La Mennais. Sa vie, ses idées, ses ouvrages,** Paris 1922; Alec R. Vidler **Prophecy and Papacy. A Study of Lamennais, the Church and the Revolution,** London 1954.

(3) Louis Veuillot w liście do Desire Carriere, datowanym 22. 5. 1846. (**Correspondance de Louis Veuillot,** wyd. F. Veuillot, 1931, II, s. 174 n).

(4) Por. **L'Avenir,** 16. 10. 1830.

(5) Por. słowa Arcybiskupa do Karola X cyt. przez Vidler, **op. cit.** s. 154/5.

(6) **Delle Cinque Piaghe della Santa Chiesa** nie było opublikowane do r. 1849.

(7) Por. Sean O'Faolain, **The Irish,** Penguin Books, 1947, s. 98

(8) O Charles de Coux patrz J. B. Duroselle, **Les Débuts du Catholicisme Social en France (1820-1870),** Paris 1951,**passim.**

(9) O całej tej sprawie patrz ważny artykuł: Conrad Bonacina, 'The Catholic Church and Modern Democracy', w: **The Wind and the Rain,** VII, London 1951, s. 105-20.

10) Warto zaznaczyć, że Lamennais i jego przyjaciele otrzymali wiadomości z samego Rzymu, z których wynikało, że encyklika **Mirari vos** była tam uważana przez pewnych najwyższych dygnitarzy kościelnych jako dokument pożałowania godny. Patrz: Paul Dudon, **Lamennais et le Saint-Siège 1820-1834,** 1911, s. 221 n. Dudon nawiązuje do listu z 4. 9. 1832, który znajduje się w tece Lamennais'go w archiwum watykańskim.

(11) **Op. cit.,** s. 209.

(12) Por. Josef Schmidlin, **Papstgeschichte der neuesten Zeit, I, 1800-1846,** Monachium, 1933, s. 565.

(13) **Op. cit.,** s. 253.

(14) Dr Vidler, **op. cit.,** epilogue; Mr. Philip Spencer, 'Prophet without Dishonour", przemówienie radiowe, Trzeci Program B.B.C., 27. 2. 1954, drukowane w: **The Listener,** London, 11. 3. 1954.

(15) Por. artykuł barona d'Ecksteina 'The Abbé de Lamennais' w: **The Rambler,** London, 1859, s. 44.

NOWA DEKLARACJA EPISKOPATU FRANCJI

Owocem niedawno zakończonego zjazdu Episkopatu Francji jest deklaracja pod znamiennym tytułem: „Kościół w łonie współczesnego świata i w obliczu cywilizacji współczesnych." Dokument ten stanowi próbę zakreślenia stanowiska Hierarchii kościelnej wobec apostolatu francuskiego. Biskupi Francji zalecają wszystkim chrześcijanom nie odwracać się od nowoczesnego świata, ale rozumieć go, kochać i służyć mu. Doczesną pracą swoją winni się przyczyniać do jego budowy, a przez akcję katolicką i misyjną do jego zbawienia, ufni w łaskę Jezusa Chrystusa i w wieczną młodość Kościoła.

Winni oni jednak umieć też i osądzić świat współczesny trzeźwo, oceniać jego wartości ludzkie, a wstrzymując się od daremnych opłakiwań przeszłości, uznać nadzieje, jakie w sobie nosi. Trzeba również znać jego błędy i niedoskonałości, a to po to, żeby móc lepiej leczyć rany ludzkości, spowodowane grzechem.

Świat współczesny dumny jest z postępu wiedzy i techniki. Kościół się także tym cieszy. W postępie tym widzi Kościół dar Boży, dzieło geniuszu ludzkiego, obietnicę polepszenia bytu rodzin, rozpowszechnienia kultury, czyli stopniowe wypełnianie się planów Stworzyciela, który wybrał człowieka na pana materii. Tutaj deklaracja Biskupów francuskich wtóruje jakby wigilijnemu orędziu Piusa XII.

Następnie w deklaracji jest mowa o cierpieniach i trwogach świata współczesnego. Szczególnie poruszona jest dola robotników. Zbyt mało jeszcze jest ludzi korzysta z postępu cywilizacji, do którego pracą rąk się przyczyniły. Biskupi przypominają, jak ciężkie potępienie ściągają na siebie nadużycia kapitalistycznego liberalizmu. Społeczne nauki Kościoła są zapoznane, o ile nie świadomie zdeptane przez chrześcijańskich przedstawicieli przemysłu i handlu, którzy w pracy zawodowej zupełnie się z nimi nie liczą. Nauki te są niedoceniane i przez chrześcijan postępowych, którzy nie dostrzegając związku łączącego w marksizmie czyn i teorię, odrzucają być może część filozoficzną komunizmu, ale podpisują się pod jego częścią społeczną i polityczną. Otóż jedynie duch chrześcijański prowadzi do odrodzenia społeczności.

Druga część deklaracji zajmuje się określeniem stanowiska Kościoła wobec nowotworzących się cywilizacji.

Ludzkość stoi dziś najwyraźniej na rozdrożu. Jaką będzie cywilizacja jutra? Cywilizacja pracy, techniki czy atomu? Na tym rozdrożu chrześcijanie są rozbici. Jedni zajmują stanowisko absolutnej opozycji, tęskniąc za formami życia przeszłości. Inni znów zaufali całkowicie nowym wartościom i chcieliby, aby i Kościół przyjął bez zastrzeżeń nowobudujący się świat i stanął na czele postępu. Jeszcze inni znowu, pośród których nie brak i księży, chcieliby pogodzić te dwie sprzeczne postawy. Z jednej strony nie chcą odstąpić od wiary Chrystusowej, ale z drugiej sposób ich myślenia i poglądy upodabniają się do tych, co stoją w całkowitej sprzeczności z Ewangelią.

Kościół daje się przenikać wszystkiemu, co ludzkie, ale granice tej swobody kończą się tam, gdzie się zaczyna humanistyczny ateizm i ateistyczny materializm marksizmu. W marksistowskiej walce klas nie chodzi o wyzwolenie robotnika albo chociaż o polepszenie jego doli; walka ta staje się szkołą, urabiającą tych, co w niej biorą udział i skłaniają ich do stopniowego przyjęcia całej dialektyki marksistowskiej. Tutaj leży niebezpieczeństwo dla chrześcijan.

Wreszcie mówiąc o działalności misyjnej, Biskupi oświadczają: „Ciężki i osobny problem stanowi dla nas utworzenie się nowych skupisk ludzkich, żyjących z tej samej pracy rąk, do których objawienie chrześcijańskie nie przeniknęło jeszcze wcale i gdzie Kościół znany jest jedynie z kłamstw materialistycznej i ateistycznej kampanii.

„Hierarchia żywo odczuwa odpowiedzialność swoją wobec tych mas, które nie znają posłannictwa Boskiego Zbawiciela. Za cel misyjny postawiła więc sobie dotarcie do nich, przez obecność i przez działalność w środowiskach odciętych od Kościoła chrześcijańskiego — katolików świeckich, którzy by, solidaryzując się ze światem, przed którym mają świadczyć o miłosierdziu Chrystusowym, wypełniali ponadto misję ewangelizacyjną, powierzoną im przez Kościół."

Tak więc miejsce odwołanych księży-robotników ma zająć nowa forma ewangelizujących katolików świeckich. Zadanie przerzucone zostało na świeckich wiernych. W momencie zwrotnym historii Episkopat Francji mobilizuje wszystkich wiernych do akcji misyjnej.

Deklaracja kończy się akcentem nadziei. Dzieci Kościoła winny wystrzegać się chorobliwych niepokojów jak i zbrodniczej obojętności. Przeznaczeniem Kościoła jest spełniać swoją misję poprzez wszystkie następujące po sobie cywilizacji, każda z nich bowiem potrzebuje odkupienia.

KAZIMIERZ NAŁĘCZ

KOSMOS BOŻY

Byt wszystek gorzał w Tobie — gdy wszechświat był niczym...
Istności Niepojęta — Ogniu Tajemniczy!
Któryś rozżarzył światy, sprzągł ciążenia darem;
— Nieskończoność Ci miarą — a wieczność zegarem...
Gdyś z pustki pełnię sprawił, a żywot z martwoty
— Równie dbały o atom — co o słońc obroty —
Bezmiar się łaski Twojej nad światem rozścielił:
Ziemię oddał stworzeniu — niebo uanielił...
— Lat miliardy spłynęły, zanimś — z mułu ziemi —
Postanowił człowieka ponad widzialnymi.
— Nigdy by się — proch prochów — stawić Ci nie ważył,
Gdybyś go wolnej woli lennem nie obdarzył,
Gdybyś do wiecznej chwały praw mu nie dał rościć,
Dzieląc z nim nieśmiertelność — zadatek wieczności.
— A przeto i my wszyscy — acz nie pomni tego —
Jesteśmy ciał niebieskich zaślubieni biegom,
I — mimo odśrodkowej mocy zła i skażeń —
Dusz naszych z Twej orbity nic już nie wyważy...
— Kiedyś ściągniesz nas znowu — ostateczną porą —
Niby skrzące okruchy Twego gwiazdozbioru,
By — po próbie ogniowej bytu i cierpienia —
Dać wiekuistą radość Twego przebaczenia...
— Tym wszakże, których wola przeciw Tobie wzbiera,
Wszechmoc Twoją wyzywa, łaskę poniewiera,
Każesz precz się oddalać — na kształt zimnych mgławic —
W bezświat nieskończoności, skąd już nic nie zbawi.

Kazimierz Nałęcz

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Szerzenie znajomości Biblii. W celu szerzenia studium Pisma Św. kardynał Leger dokonał otwarcia przewidzianego od r. 1950 Centrum Biblijnego w Montrealu. Centrum posługuje się wszystkimi środkami nowoczesnymi, a więc prasą, kinem, radiem, telewizją. Organizuje ono m.in kursy korespondencyjne „Historii Boga". W Holandii Stowarzyszenie św. Wilibrorda zajmuje się publikacją i szerzeniem książek religijnych, wśród nich Biblii. Z okazji „Tygodnia Biblii" sprzedano 250 tysięcy jej egzemplarzy, wydanych przez stowarzyszenie.

„Wyniesiona na trybunę, której nie ma równej w świecie" — tymi słowy określił kardynał Tedeschini statuy świętych fundatorów i fundatorek zakonów i zgromadzeń zakonnych w niszach bazyliki św. Piotra na Watykanie, gdy 21 kwietnia dokonał odsłonięcia ostatniej statuy, a przedstawiającej św. Luizę Marillac, współzałożycielkę Córek Miłosierdzia. W ten sposób w ciągu 248 lat nisze bazyliki zaludniły się 39 postaciami (29 mężczyzn i 10 niewiast), wysokimi w niszach dolnych na 4.50 m, w górnych na 5.75 m. Święci ci i święte przedstawiają w skrócie historię drogocennych w oczach Boga i bezcennych dla dziejów kultury ludzkiej wysiłków.

Przystąpienie Stolicy Apostolskiej do Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. W odpowiedzi na zaproszenie Stolica Apostolska weszła oficjalnie do Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. Komitet ten, istniejący w Genewie od roku 1926, skupia obecnie w charakterze członków 25 krajów i 4 międzynarodowe organizacje; we wrześniu r. 1955 odbędzie się w Rzymie X kongres komitetu. Wśród różnych komisji utworzonych w łonie komitetu jest także komisja historii kościelnej, do której przystąpiła również Stolica Apostolska. Dla współdziałania zarówno z całym komitetem, jak i komisją historii kościelnej Stolica Apostolska delegowała grupę wybitnych uczonych.

Św. Paweł na banknotach. Rząd grecki przystąpił do wydania banknotów z obrazami scen biblijnych. Na banknocie 500 drachmowym będzie przedstawiony św. Paweł w chwili wygłaszania swego słynnego przemówienia na Areopagu; na banknocie 10 drachmowym będzie odtworzony znany bizantyjski kościół Apostołów w Salonikach.

Katalog książki katolickiej. Staraniem Unii Włoskich Wydawców Katolickich ukazał się Ogólny Katalog Książki Katolickiej we Włoszech. Tom o 440 stronach zawiera ponad 13 tysięcy tytułów książek, wydanych przez wydawców zrzeszonych w Unii i innych, które przyczyniają się do szerzenia myśli katolickiej.

Wobec nowych kanonizacji. 21 maja odbył się konsystorz w sprawie nowych kanonizacji. Kanonizowani będą błogosławieni Pius X, Maria Rosa, Piotr Chanel, Dominik Savio, Józef Maria Pignatelli, Gaspar del Bufalo. Liczba kanonizowanych przez obecnego Ojca św. wzrośnie do 32.

Intencje Roku Maryjnego w maju. Zgodnie z dyrektywami Rzymskiego Komitetu Roku Maryjnego niedziele maja poświęcone są modlitwom na następujące intencje: 2 maja za Papieża, 9 — za Kościół Milczenia, 16 — za ojczyznę, 23 — za pokój, 30 — za kapłanów oraz powołania kapłańskie i zakonne.

Uroczystości kanonizacyjne błog. Piusa X. Kanonizacja błog. Piusa X odbędzie się na placu św. Piotra w sobotę 29 maja, Msza św. odprawiona będzie w bazylice w niedzielę. W czasie zazwyczaj odbywającego się po kanonizacjach dziękczynnego triduum (w dniach 5, 6 i 7 czerwca) ciało kanonizowanego będzie przeniesione z bazyliki św. Piotra do bazyliki Matki Boskiej Większej, która jest centrum uroczystości obecnego Roku Maryjnego.

Prośba o patronat św. Stanisława Kostki. Wychowankowie polskiego zakładu księży marianów w Hereford wysłali do Ojca św. Piusa XII prośbę o ogłoszenie św. Stanisława Kostki Patronem całej młodzieży katolickiej. W liście swym do Papieża chłopcy polscy piszą między innymi:

„Ojcze Święty! Smucimy się, że nasi koledzy z Polski, Węgier i innych krajów są odciągani od wiary św. i Kościoła, że kardynał Mindszenty i nasz kochany prymas, kardynał Wyszyński i tylu księży i biskupów cierpi w więzieniu. Dlatego w imieniu wszystkich chłopców błagamy Ciebie, Ojcze Święty, byś świętego Stanisława Kostkę, Patrona polskiej młodzieży, i św. Emmeryka, Patrona młodzieży węgierskiej, uczynił Patronami całej katolickiej młodzieży, by ich święta były obchodzone w całym Kościele i by stały się dniami modlitw za dzieci i młodzież krajów, gdzie wiara święta jest prześladowana. W Roku Jubileuszowym Matki Najświętszej Niepokalanej spraw, by św. Stanisław Kostka i św. Emeryk byli ogłoszeni jako rzecznicy przed Bogiem i Matką Najświętszą tych wszystkich, których wiara w młodym wieku jest zagrożona, lub którzy muszą cierpieć za Chrystusa, za Matkę Najświętszą i za wierność dla Stolicy Świętej." (IC)

WŁADYSŁAW JELONEK

W DNIU KANONIZACJI PIUSA X

CZAR OSOBOWOŚCI

Gdy myśli nasze w dniu kanonizacji błogosławionego Piusa X, pierwszego po św. Piusie V (1566-1572) kanonizowanego Papieża, kierują się do Watykanu, przed oczyma dusz staje postać świetlana pogodą duszpasterza, ale zarazem pełna majestatu, pod której czarem pozostawali wszyscy, którym dane było zetknąć się z nią choćby na chwilę.

Na dzień przed wyborem Piusa X na Stolicę Piotrową doświadczył tego sekretarz konklawe, późniejszy kardynał sekretarz stanu i oddany współpracownik Piusa X, dziś także kandydat na ołtarze, ks. Rafał Merry del Val. Tegoż samego czaru osobowości Piusa X w trzy dni później doświadczyli członkowie korpusu dyplomatycznego, wytrawni dyplomaci, przyzwyczajeni do obcowania z monarchami, do ceremoniału przyjęć dworskich i spotkań międzynarodowych. Wyraził to przedstawiciel Prus w słowach: „Co jest w tym człowieku, co nas tak bardzo pociąga?" Gdy dyplomaci wyszli od pełniącego obowiązki pro-sekretarza stanu, mons. Merry del Val, słowa te pozostały w jego umyśle i sam dał sobie odpowiedź: ś w i ę t o ś ć.

Nieudawana prostota w obejściu, bezpośredniość obcowania z ludźmi i swoboda ojcowska sprawiały, że Pius X był doskonałym naśladowcą swego Boskiego Mistrza, wzywającego wszystkich: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni". Umiał jednak Pius X, także za wzorem Boga-Człowieka, gdzie trzeba było, karcić w świętym gniewie tych, którzy go podpatrywali, aby go oskarżyć, i biczem kar kościelnych wyrzucać ze świątyń wszystko to, co sprzeciwia się świętości Domu Bożego, który nazwany jest domem modlitwy. Pius X mógł zawsze za Mistrzem z Nazaretu powtarzać: „Żarliwość domu Twego pożera mnie".

Takim jawi się dziś przed oczyma naszymi Pius X, gdy w dniu Jego kanonizacji myśli kierują się do bazyliki Pierwszego Papieża, gdzie spoczywa Jego ciało.

PONTYFIKAT PIUSA X NA TLE WIEKU

20 lipca 1903 roku zmarł Leon XIII. 4 sierpnia wstąpił na Stolicę Piotrową Pius X.

Dwa wielkie pontyfikaty. Wielkie na wszystkie czasy, wielkie też na czasy dzisiejsze.

Pontyfikat Leona XIII nazwano pontyfikatem cudownym, wspaniałym: pontificato mirabile. Jeden z dzienników nie-katolickich w rok po jego śmierci pisał, że do Leona XIII myśl powraca z uczuciem pogodnej czci, jak do postaci historycznych pełnych majestatu. Wielu historyków papiestwa twierdzi, że był to największy Papież od czasów rewolucji francuskiej. O jego następcy napisano: „Historia powie, że głównym i stałym przedmiotem trosk i dążeń Papieża Piusa X była chwała Boża i duchowe odrodzenie ludów". „Echo de Paris" pisało: „Pius X należy do historii, uczyni ona z niego wielkiego Papieża, a Kościół, którego był chlubą, ogłosi go kiedyś wielkim Świętym."



Wszelkie skróty są niebezpieczne. Ale można zaryzykować twierdzenie, że Leon XIII był mózgiem Kościoła, Pius X sercem.

Stuleciu 1850-1950, jak zresztą nie po raz pierwszy w dziejach, potrzeba było: 1) ogłoszenia wyraźnych i zdecydowanych zastosowań nauki Chrystusowej na czasy dzisiejsze; 2) rozgrzania się miłością gorącą, wypalającą w duszach to, co złe, i zagrzewającą do czynów. To zadanie spełnili Leon XIII i Pius X.

Leon XIII zachmurzone duchowe niebo XIX wieku rozświetlił jasnym, spokojnym światłem wielkich encyklik, chwilami rozdzierając to niebo błyskawicami prawd niezrozumiałych dla wielu ówczesnych ludzi i oślepiając oczy ich dusz, przyzwyczajone do ciemności błędu i grzechu.

Pius X na oścież otworzył drzwi Tabernakulum, zapraszając dzieci i dorosłych do częstego przyjmowania w Komunii św. Jezusa, Słońce ogrzewające miłością nadprzyrodzoną i dające moc i siłę na ciężkie czasy, jakie nadchodziły. I gdyby Pius X tylko to jedno uczynił, to już zasłużyłby na nazwę jednego z największych Papieży.

INSTAURARE OMNIA IN CHRISTO

Patrząc bystrym okiem na wartości i błędy czasów, w których przyszło mu działać, Pius X postawił sobie jako cel pontyfikatu Pawłowe: instaurare omnia in Christo, odnowić wszystko w Chrystusie. Nie ma zaś wątpliwości dla tego, kto ocenia wszystko w duchu Chrystusowym, że odnowienie wszystkiego musi zaczynać się od odnowienia tych, co mają odnawiać wszystko. Najpierw odnowić trzeba ludzi w Chrystusie, przepoić ich duchem Chrystusowym, ugruntować ich w znajomości Boskiej nauki, utrwalić w nich zasady moralności chrześcijańskiej a wolę ich urobić tak, by skłaniała się stale do postępowania zgodnego z nauką Chrystusową i moralnością chrześcijańską. To może uczynić tylko Chrystus, a wówczas odnowieni w Jego duchu chrześcijanie odnowią wszystkie dziedziny życia, w których działają: życie codzienne, społeczne, ekonomiczne, państwowe, kulturalne, międzynarodowe. Ale ażeby Chrystus mógł odnowić ludzi, trzeba ich do Niego doprowadzić. Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia — twierdził św. Paweł. Trzeba przychodzić do zdrojów Zbawicielowych i pić z nich obficie. I dlatego rozumiemy, że Pius X w gorącości swego serca wezwał wszystkich do częstej, nawet codziennej Komunii św. i energicznym zarządzeniem zabronił teologom dyskutować warunków potrzebnych do takiej Komunii św. Sam te warunki zdecydowanie określił. Zaprosił też dzieci od najmłodszych lat do częstej i codziennej Komunii św., która jedynie potrafi je zahartować na wszystkie pokusy. Niech dzieci od najwcześniejszych lat czystym sercem kiedyś pokochają Boskiego Przyjaciela Dzieci, niech nauczą się tęsknić i przychodzić do Niego.

Żarliwość o Dom Boży była przyczyną, że Pius X zaraz po wstąpieniu na tron Piotrowy w „Motu Proprio" z 22 listopada 1903 r. określił jakie mają być muzyka i śpiew w kościołach, by odpowiadały świętości miejsca poświęconego czci Bożej. Troska o tę cześć płynęła z głębokiego przekonania, że należy najpierw dbać o królestwo Boże i sprawiedliwość Jego, a wszystko inne będzie nam przydane, sprawiedliwość zaś domaga się, by oddano każdemu, co się mu należy; wobec tego należy przede wszystkim zabiegać o oddanie Bogu tego, co Mu się należy, a więc chwały i czci najwyższej. Nie można zaś Bogu oddać lepiej chwały, jak w sposób przez Niego samego podany. I dlatego bullą „Divino Afflatu" z 25 marca 1911 r. Pius X przywrócił odmawianie w pacierzach kapłańskich całego Psałterza w ciągu tygodnia; w ten sposób na nowo zajęły należne miejsce w liturgii psalmy, skarbnicy uwielbienia i hołdu, wdzięczności i dziękczynienia, żalu i upokorzenia, poczucia i zrozumienia winy, prośby i przebłagania, radości i smutku, ufności i oddania się, wiary, nadziei i miłości.

Z troski o chwałę Boga płynęły także i inne zarządzenia Piusa X: powołanie do życia Instytutu Biblijnego, komisji rewizji tekstu Wulgaty, Instytutu Muzyki Świętej, reforma brewiarza i rytuału, wzmocnienie autorytetu Komisji Biblijnej, powołanej przez Leona XIII do wydawania orzeczeń w zakresie egzegezy Pisma Świętego.

Z dbałością o cześć Boga nie mogła nie łączyć się dbałość o cześć Maryi.

Po jedenastu encyklikach poświęconych przez Leona XIII Różańcowi (w latach 1883, 1884, 1887 i corocznie od 1891 do 1898) Pius X czci Matki Boskiej poświęcił encyklikę „Ad Illum Diem" z 2 lutego 1904, z okazji 50-lecia ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia, w trzy lata potem rozciągnął na cały Kościół uroczystość Objawienia Najśw. Maryi Panny w Lourdes (11 lutego). Pod opiekuńczymi skrzydłami Niepokalanej rodziła się na Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Lourdes Eucharystyczna Krucjata Dzieci. Dzięki ofiarom z Francji mógł Pius X dokończyć w ogrodach watykańskich budowlę z grotą wzorowaną na massabielskiej.

Chrześcijanie rozgrzani miłością przychodzącego do nich w częstej Komunii św. Pana Jezusa i miłością Jego Przeczystej Matki mieli przystąpić do odnowienia wszystkiego w Chrystusie. Pius X dał początek nowemu formalnie ruchowi w Kościele katolickim, nazwanemu przez niego Akcją Katolicką w encyklice „Il Fermo Proposito" z 11 czerwca 1905. W tejże encyklice wytyczył wyraźnie cel i zadania Akcji Katolickiej i określił je z jasnością właściwą wielkim i świętym umysłom, dobierając także odpowiednich słów Pawłowych: „Abyście chodzili godnie przed Bogiem we wszystkim Mu się podobając, w każdym uczynku dobrym owoc przynosząc i rosnąc w znajomości Boga." (Kol. I, 10)

INNA DZIAŁALNOŚĆ

Wśród innych wielkich czynów Piusa X należy wymienić: szczegółowe zestawienie w jednym akcie legislacyjnym przepisów dotychczasowych dotyczących wyboru Papieża z wprowadzeniem odpowiednich zmian, zniesienie tzw. „veto" przy tym wyborze, zorganizowanie Kongregacji Kurii Rzymskiej, tzn. stałych komisyj kardynalskich do załatwiania spraw Kościoła, powołanie komisji kodyfikacyjnej do opracowania Kodeksu Prawa Kanonicznego, potępienie herezji modernizmu wraz z dokładnym zestawieniem jej błędów.

Z prac tych warto zwrócić uwagę zwłaszcza na dwie ostatnie.

Kodyfikowanie prawa kanonicznego wymagało niezwykle mozolnego trudu rozpatrzenia wszystkich praw dotychczas wydanych w ciągu prawie 2 tysięcznej prawodawczej działalności Kościoła, usunięcia jednych, dostosowania innych do zmienionych warunków współczesnego życia, ułożenia wszystkich w jedną organiczną całość. Aczkolwiek prace nad kodyfikacją zostały zakończone za następnego pontyfikatu, tym niemniej Benedykt XV ogłaszając kodeks w trzy lata po śmierci Piusa X, stwierdził, że za właściwego twórcę Kodeksu należy uważać Piusa X, który w ten sposób ma w historii prawodawstwa kościelnego jedno z najpocześniejszych miejsc.

W obronie Boskiej nauki Kościoła przeciw modernizmowi wykazał Pius X energię właściwą Świętym w takich okolicznościach Dekret Kongregacji św. Oficjum z dnia 3 lipca 1907 r. potępił 65 błędnych twierdzeń, wybranych z dzieł modernistów, encyklika „Pascendi Dominici Gregis" z dnia 8 września tego roku i encyklika „Editae Saepe" z dnia 23 czerwca 1910 r. omówiły wyczerpująco doktrynę modernizmu, o której pierwsza stwierdzała wyraźnie, że „wieloraką drogą prowadzi do ateizmu i usunięcia wszelkiej religii".

* * *

Pius X, to wielki Papież, wielki Święty, święty Papież, Papież Eucharystii, czciciel Maryi, obrońca przed jedną z największych herezyj, jeden z największych kodyfikatorów prawa.

Wladyslaw Jelonek

Z SALI ODCZYTOWEJ

ŚLADY OBRZĄDKU CYRYLO-METODEJSKIEGO W POLSCE ŚREDNIOWIECZNEJ

Polski Instytut Historyczny w Rzymie na zebraniu publicznym 25 lutego 1954 wysłuchał w obecności członków i licznych gości (ponad 70 osób), wśród których był m. in. ks. kardynał Tisserant, amb. K. Papee, amb. Austrii ks. Schwarzenberg, ks. arcybiskup Gawlina, wykładu dra Karoliny Lanckorońskiej „O śladach obrządku cyrylo-metodejskiego w Polsce średniowiecznej".

Prelegentka na wstępie podkreśliła, że mamy do czynienia z problemem, który nie od dziś pasjonuje historyków polskich. Od dawna toczą się na ten temat ożywione dyskusje, gdyż wszystkim znany był ustęp z życia św. Metodego zwany „Vita Pannonica", w którym mowa o potężnym księciu znad Wisły, który dręczył chrześcijan w swoim kraju. Prorokował mu św. Metody, że zostanie wzięty do niewoli i ochrzczony przemocą, co się też stało.

Zdawało się, że to poważne źródło było jakby odosobnione. Brakowało elementów dalszych. Nawet bardzo słuszne, lecz niepodbudowane hipotezy nie wystarczyły, by zmienić utarty pogląd na początki chrześcijaństwa w Polsce.

Ta zmiana nastawienia jest dopiero zdobyczą naszego pokolenia. Należy tu przede wszystkim wymienić wielkie dzieło Henryka Paszkiewicza „The Origin of Russia" (obecnie w druku). Główne wyniki znane są już od dłuższego czasu z odczytów autora. Paszkiewicz tłumaczy niezbyt dotąd zrozumiałe ustępy z dwóch naszych najstarszych kronik, z Anonima Galla i z Mistrza Wincentego (pocz. XII i XIII w.). Kroniki te mówią o dwóch metropoliach w Polsce Chrobrego i wyjaśniają, że jedna, gnieźnieńska, była oczywiście łacińska, druga zaś słowiańska.

Nie dość na tym. Parę lat temu w Kraju wyszła praca Jerzego Zatheya o „Kalendarzu z XIV w.", w którym dzień 17 lipca poświęcony był św. Gorardowi, uczniowi i następcy św. Metodego. Fakt, że Kalendarz ten pochodzi z Wiślicy, nadaje temu odkryciu wagę szczególną. Wiślica w czasach przedpiastowskich miała duże znaczenie jako siedziba księcia Wiślan i tu widzimy namacalny prawie związek z omawianym tekstem z życia św. Metodego. W czasach wczesnego chrześcijaństwa w Polsce kwitł w Wiślicy klasztor benedyktynów. Jeśli ci benedyktyni obchodzili dzień św. Gorarda, nie może być wątpliwości, skoro ten święty nie został przyjęty w poczet świętych zachodniego Kościoła, iż benedyktyni w Wiślicy byli obrządku słowiańskiego.

Prelegentka dalej wykazała, jak wielkie zasługi dla szerzenia chrześcijaństwa w Polsce mieli benedyktyni obrządku słowiańskiego. Mówi o nich jeszcze w XVII wieku Stanisław Szczygielski, mnich tyniecki, i dodaje, że klasztory ich później dla ujednolicenia służby Bożej przeszły na obrządek łaciński. Pisze o nich i biskup płocki Łubieński.

Faktem nieznanym dotąd było, że o klasztory te toczyła się przez przeszło sto lat walka między obu obrządkami ze zmiennym szczęściem. Pierwszy raz, jak się dowiadujemy ze źródeł czeskich i ruskich i co potwierdza Długosz, już sam Bolesław Chrobry wypędził mnichów słowiańskich z Polski w roku 1022. Powodem tego było, jak pisze Polikarp, mnich Ławry Peczerskiej, że błogosławiony Mojżesz Węgrzyn, jeniec królewski z wyprawy kijowskiej, został potajemnie postrzyżony (pozyskał w ten sposób immunitet kleru, co zmniejszyło władzę króla wobec jego osoby). (Kosmas mówi o persecutio christianorum...).

Po śmierci Mieszka II sytuacja się zmieniła. Wypadki te są nam bardzo mało znane. Wiemy tylko, że nastąpiła rewolucja, zwykle nazywana reakcją pogańską. Najbliższy zaś tym wypadkom kronikarz duchowny Gall nie mówi nic o poganach, tylko o tych, którzy z drogi wiary katolickiej zboczyli („a catholica fide deviantes"). Prelegentka przypuszcza więc, że chodzi tu o reakcję słowiańską, przeciw której bardzo energicznie występuje po swoim powrocie z wygnania Kazimierz Odnowiciel. Sprowadza on biskupów i zakonników z Zachodu, z Francji i Belgii, sam przepojony monachizmem zachodnim, gdyż przebywał przez krótki czas w klasztorze benedyktyńskim zachodnim. Biskupowi płockiemu udziela pomocy wojskowej dla wykorzenienia „zabobonów" nie wśród chłopów, bo ci słuchali biskupa, tylko wśród szlachty.

Szczególnie w dziejach dwu bardzo sławnych klasztorów benedyktyńskich w Polsce znajdujemy ślady tych walk: w klasztorze św. Krzyża na Łysej Górze i w Sieciechowie. Podobne były losy najstarszego z klasztorów polskich Tyńca. Po trzy razy zmieniały one obrządek, aż za Bolesława Krzywoustego znikły z nich ostatnie ślady przeszłości. (W klasztorze na Łysej Górze znajduje się spisana przez jakiegoś mnicha tradycja, bardzo prawdopodobna, że w roku chrztu przybyło do Polski 6 mnichów ze Słowacji. W klasztorze tym na relikwiarzu, zawierającym relikwie Krzyża św., były znaki podwójnego krzyża greckiego, co by wskazywało, że relikwie te przyszły ze Wschodu.)

Za Bolesława Krzywoustego przybył do Polski legat a latere, biskup z Beauvais, Gualo, uczeń i przyjaciel Iwona z Chartres i Anzelma z Canterbury. Legat usunął dwóch biskupów, wśród nich Czesława (Caslaus), ostatniego biskupa krakowskiego obrządku słowiańskiego. Następcą jego był Francuz Baldwin, kolektor świętopietrza.

Najtrudniejszym i najbogatszym, o ile chodzi o dzieje obrządku słowiańskiego w Polsce, jest problem Krakowa. Początki są mgliste. Na Wawelu powstaje szereg świątyń. Z tych, które znamy, najstarsza to rotunda św. Feliksa i Adaukta, niegdyś Matki Boskiej, której architektura wyraźnie nawiązuje do rotund słowiańskich i morawskich. Było na Wawelu jeszcze kilka kościołów, dziś nie istniejących: św. Michała, św. Jerzego, św. Marii Egipcjanki oraz katedra św. Salwatora. Wszystkie te wezwania były bardzo rozpowszechnione na Wschodzie. Istnieje też cały szereg wezwań małopolskich, które spotykamy na Morawach i w Słowacji.

Trudną do rozwiązania jest sprawa biskupów krakowskich, którzy tam rezydowali, nim Mieszko I i Chrobry zorganizowali Kościół w Polsce, nim w Krakowie powstała metropolia słowiańska. Imiona pierwszych biskupów krakowskich nie są łacińskie: Prohoros i Procolfos zdają się wykluczać, żeby mogli być obrządku łacińskiego.

Żywe stosunki ze Słowacją (z Nitrą przede wszystkim) przemawiają za tym, że Słowacja, która tworzyła część państwa wielkomorawskiego, była tym krajem, skąd jeszcze przed oficjalnym chrztem Polski w obrządku łacińskim przybyło chrześcijaństwo na ziemie polskie.

Istnieje hipoteza, że po najeździe Węgrów metropolia z Nitry przeniosła się do Krakowa. Później w r. 1087 metropolia ta już nie istnieje, a Praga uważa się już wtedy za dziedzica dwu metropolii Nitry i Krakowa.

Źródła średniowieczne mówią niejasno o obrządku wschodnim, słowiańskim. Jakie były przyczyny? Kler niemiecki z góry był wrogo nastawiony do tego rytu, a odgrywały tu wielką rolę względy polityczne. Kler włoski i francuski były niechętne, bały się schizmy. Język słowiański mógłby zniszczyć różnice między prawosławiem (w XI wieku schizma) a Kościołem rzymskim, mógłby być niebezpieczny dla wiary.

W XII wieku biskup krakowski Mateusz Cholewa pisze list do św. Bernarda, że ryt słowiański w Polsce przestał istnieć, że Polska przeszła do dziedzin kultury łacińskiej... To była ostatnia racja, że ryt słowiański w Polsce wygasł. Naród polski wybrał kulturę łacińską, zachodnią.

* * *

Pełny tekst niezmiernie ciekawego odczytu dr. Karoliny Lanckorońskiej ukaże się w przygotowywanym pod redakcją ks. prof. W. Meysztowicza nowym periodyku naukowym, poświęconym sprawom polskim, pt. „Antemurale".

ZYGMUNT TURKIEWICZ

UCZNIOWIE MARIANA SZYSZKO-BOHUSZA

1. WRAŻENIA Z WYSTAWY „BOHU - MAZÓW"

Działalność pedagogiczna prof. Mariana Szyszko-Bohusza w zakresie krzewienia kultury plastycznej jest dobrze znana społeczeństwu polskiemu. Jego liczne wykłady popularyzujące trudne problemy związane ze sztukami plastycznymi, jak też jego Studium Malarstwa Sztalugowego zjednują mu coraz liczniejszych zwolenników. Nic dziwnego, że tak się dzieje, profesor bowiem posiada rzetelną wiedzę oraz rzadko spotykany entuzjazm dla spraw sztuki. Potrafi zapalić i uwrażliwić słuchaczy na piękno oraz rozbudzić w nich potrzebę przeżyć estetycznych. Chyba zgodzimy się wszyscy, że nie są to sprawy łatwe w dobie dzisiejszej tak bardzo zmaterializowanej, w której większość „zjadaczy chleba" pozostaje obojętna na wysiłki "zwariowanych entuzjastów", którzy za ciężko zarobione pieniądze kupują tuby kolorów, zamiast biletów do kina.

Grupę ludzi, jaką profesor skupił w Studium Malarstwa Sztalugowego, pomimo różnicy wieku, płci i narodowości, łączy wspólna wszystkim miłość sztuki.

Kiedy klub „Orła Białego" (w którym mieści się pracownia Studium Malarstwa) ucierpiał z powodu pożaru i szkoła musiała siłą faktu zawiesić swoje czynności, jej uczniowie odczuli ten wypadek najboleśniej.

Te kilka godzin w tygodniu, spędzanych w atmosferze bezinteresownej pracy nad znalezieniem kilku nowych zestawień barwnych lub nad odkryciem jakiegoś nowego rytmu, są dla tej grupy czymś, czego nie da się zastąpić kinem czy nawet spacerem w słoneczne popołudnie.

Kiedy więc redakcja ŻYCIA zaproponowała mi napisanie sprawozdania z wystawy prac uczniów Studium Malarstwa Sztalugowego Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie, zgodziłem się na to z radością.

Na ścianach klatki schodowej, aż do wejścia do sal wystawowych, umieszczone rysunki nastrajają do wystawy pozytywnie, lekkie notatki i czasem jakieś solidniejsze studium świadczą o wrażliwości na sprawy formalne, o znaczeniu linii i plamy.

W drzwiach sali wystawowej wita mnie młody człowiek, uprzejmie zapraszając, bym złożył swój podpis na liście zwiedzających. Wpisałem swoje nazwisko, po czym rozejrzałem się po przestronnej sali. Ściany pokryte były pracami gęsto aż pod sufit, na źle wymiecionej podłodze stało niedbale kilka biednych krzeseł, dwa fotele i biurko przy wejściu. Byłem jedynym zwiedzającym i ucieszyłem się z tego, że będę mógł swobodnie zaznajomić się z wystawionym materiałem. Tymczasem młody człowiek pochylony nad listą coś tam pilnie studiował, po czym bardzo uradowany wyciągnął do mnie rękę ze słowami: „Bardzo przyjemnie pana poznać, pan malarz, nieprawdaż?" i nie czekając na moją odpowiedź monologuje dalej, gestykulując przy tym szeroko: „Panie, to wszystko, co tutaj pan widzi to jest nic, ja panie, nasza grupa, panie, nasze spotkania, dyskutujemy, pomagamy sobie, uczymy się sami. Ja jestem samoukiem, ja maluję, ja tworzę, a to? — (pokazuje na wystawę) — to nic, panie, tak nie można"... Odsapnął i usiadł na krzesełku. — „Gdzie są pańskie prace?" — zapytałem. — „W domu" — brzmiała odpowiedź — „ja należę do innej grupy i tutaj nie wystawiam". Aha, zrozumiałem: „opozycja" i zrobiłem parę kroków w kierunku obrazu, który mię zainteresował. Mój „przewodnik" zerwał się z krzesła, podszedł do obrazu, któremu się przypatrywałem, zdjął go ze ściany i przeniósł do światła. Chwilę patrzył na obraz i na mnie, po czym zapytał. „Co pan o tym sądzi?" i nie czekając na moje zdanie dodał: „bo ja proszę, raz, dwa, trzy, cztery" — licząc głośno pokazywał palcem z szybkością strzałów automatycznego pistoletu znalezione zestawienia. Nic nie odpowiedziałem i podszedłem do innego obrazu. Niestrudzony przewodnik natychmiast znalazł się przy mnie i tym samym szybkim, automatycznym ruchem pokazuje mi wartości, tym razem wymawiając szybko: „to, to, to, to".

Chwila zastanowienia i już go rozumiem.

Za swoich studenckich czasów, jeśli ktoś chciał pokazać jak bardzo „zna się na malarstwie", wybierał sobie jakieś miejsce na obrazie, zataczał palcem małe kółeczko i mówił wdzięcznie: „przyjemne zestawienie". Typowe sprowadzanie wiedzy o malarstwie do jakiegoś jednego zagadnienia.

W ten sposób z nieodstępującym mnie na moment przewodnikiem obejrzałem obie sale. Zdołałem mimo wszystko zauważyć ogólny nastrój wystawy i stwierdziłem, że mała salka była utrzymana harmonijnie i robiła całkiem dobre wrażenie. Stwierdziłem, że obraz w pokoju może być bardzo pożądanym akcentem, a kilka obrazów robi wnętrze co najmniej interesującym.

Kiedy z powrotem znaleźliśmy się w większej sali, mój przewodnik zaproponował mi, abym zajął miejsce w wygodnym fotelu, on sam umieścił się w drugim i bardzo elokwentnie starał się zainteresować mnie grupą artystów, do której on sam należy, a która zbiera się co dwa tygodnie.

Słuchając go „jednym uchem", wodziłem wzrokiem po wystawie. Dostrzegłem ubóstwo obszernego pokoju, szpary w podłodze, tandetne ramy, powyginane kartony i wreszcie „Bohumazy". Było ich dużo i bardzo kolorowych. Stanowczo za dużo na jeden pokój. Efekt był taki, że zmęczony tym bogactwem wzrok odpoczywał na szarozielonkawej powierzchni odrapanej podłogi, która w świetle wiosennego popołudnia nabierała barwy jakiejś pięknej kolorowej materii.

Przypomniałem sobie jak to w warszawskiej Akademii profesor K. Tichy urządzając doroczną wystawę, dobierał godzinami odpowiednie draperie, które miały być tłem dla obrazów jego uczniów. Przy tej ceremonii, obowiązkowo musiał ktoś grać Bacha. Tichy długo wybierał kolory i faktury, urządzał światła i niczego nie zaniedbał, aby prace pokazać jak najkorzystniej.

Sam osobiście w białych rękawiczkach ustawiał owe cuda ceramiczne, które były chlubą Akademii, a których profesor zabraniał dotykać komukolwiek.

Pomyślałem, że jeżeli kogoś stać na malowanie, to tym bardziej powinno go stać na przyzwoite pokazanie swych prac, skoro decyduje się na pokaz.

Moją kontemplację oraz płynny potok słów przewodnika przerwało wejście trzeciej osoby. Był to starszy pan, poważny i uprzejmy rodak. Zajął miejsce na krześle po środku pokoju. Zauważył, że nie lubi dyskusji na temat sztuki, a tym bardziej czytać o niej. Przychodzi często na wystawę, bo po prostu lubi kolory. Jak się wnet okazało, nowy przybysz pozował do portretu. Spora ich liczba była tutaj wystawiona. Miałem szczęście skonfrontowania modela z malarstwem. Studium portretowe **Heleny Wawrzkiewicz** było bodajże jedyną na tej wystawie pracą (mowa o portrecie „Pana"), z której wynikało, że malarka ma oczy i posługuje się nimi, kiedy maluje modela. Model miał twarz subtelną, delikatną w kolorze, o przewadze tonów kości słoniowej, zimnych szarości i delikatnych różów — tymczasem większość prac była zbudowana na silnych kontrastach o bardzo żywych barwach. Przy tym nawzajem prześcigano się w deformowaniu tej w istocie harmonijnej głowy. Prawdę mówiąc, nie mogłem się domyśleć tych przyczyn zniekształcenia, bo nawet kompozycja malowanej płaszczyzny nie usprawiedliwiała tego.

Jedną z nielicznych rzeczy, jakie profesor jest w stanie skontrolować w pracy ucznia jest studium z natury, gdzie na pewno można uczniowi dużo pomóc w rozwijaniu wrażliwości widzenia i poprowadzić go po drodze, na której mógłby osiągnąć świadomość plastyczną. Wydaje mi się, że dla osiągnięcia tego zadania pewna dyscyplina jest jednak konieczna.

W międzyczasie starszy pan pożegnał się i opuścił wystawę, a na listę zwiedzających wpisywali się właśnie dwaj Anglicy.

Niedługo rozkoszowali się spokojną i indywidualną kontemplacją obrazów. Naprawdę uprzejmy przewodnik skorzystał z jakiegoś pretekstu, by służyć im swoją osobą. Nie zapomniał przy tym o mnie i zostałem przedstawiony obu panom. Anglicy wyjątkowo interesowali się wystawą i reagowali b. żywo na barwy, formy i kompozycje. Uwaga moja została zwrócona na rzeczy w sztuce bardzo istotne, a to na malowanie szczere, będące wynikiem wewnętrznej potrzeby, która przy systematycznej inteligentnej pracy zawsze zostaje uwieńczona dobrym rezultatem, oraz na stosunek do malowania kłamliwy, wypływający często z chęci imponowania, który prowadzi do zarozumiałego dyletantyzmu, podstawy wszelkiej kołtunerii artystycznej.

W rezultacie odkryliśmy wspólnie, że wystawa posiada wiele rzeczy godnych uwagi.

Nie chodzi tutaj o krytykowanie i pochwały tego czy innego studenta. Każdy z nich wedle swych możliwości wspina się ku królestwu sztuki. Gdybyśmy jednak chcieli zdać sobie sprawę z wysiłku indywidualnego, który na tej wystawie objawia się raczej dyskretnie, podkreśliłbym pewną naiwną świeżość i poezję koloru i formy występujące w pracach **Ewy Bogusławskiej**. Malarstwo **Krystyny Ejból** jest godne uwagi ze względu na zdecydowanie szczere i indywidualne podejście do sprawy formy, koloru, kompozycji i techniki. Skromne rozmiarami jej studia posiadają duże wyczucie kompozycyjne, świeżą i bardzo ciekawą gamę kolorów i dużą dbałość techniczną. Te cechy zdecydowanie wyróżniają jej prace z prac reszty kolegów, którzy być może stawiają sobie bardziej ambitne założenia formalne, ale ich realizacja nasuwa wątpliwości co do szczerości tych intencji. **Jan Pieńkowski** ma, między innymi pracami, z dużym wdziękiem namalowany świetlisty akcik na błękitnych draperiach. Złocisty kontur, jakim oprowadził formę aktu, świadczy o jego dużej wrażliwości i intuicji malarskiej. Chłopak ma duży talent.

Większość słuchaczy „Studium" lubuje się w silnych, prawie brutalnych zestawieniach plam barwnych i na ich tle ściszona gama kolorów **Witolda i Wiesława Schejbalów** dowodzi ich indywidualnych wysiłków w poszukiwaniu nowych harmonii, a również widać w ich pracach wysiłek kompozycyjny.

Janina Baranowska stawia sobie ambitne zadania tematyczne, które na razie nie poparte wartościami czysto malarskimi wypadły dość chudo jeszcze.

Wojciech Gniatczyński jest bodajże najmłodszym uczniem prof. M. Szyszko-Bohusza, o ile chodzi o czas studiów i wystawione na tym pokazie jego prace odznaczają się świeżością spojrzenia, ale są potraktowane zbyt płytko. Ten niewątpliwie utalentowany młody człowiek zdaje się pracować na ilość, a nie na jakość. Nic w tym dziwnego, niedawno dopiero dorwał się do farb.

Na zakończenie chciałbym wyrazić moje uznanie dla przewodnika po wystawie, który ma talent przytrzymywania przez długie godziny zwiedzających wystawę. Bez niego niniejsze sprawozdanie, być może, pozostałoby zdawkową notatką, jego osoba jednakże zmusiła mnie do głębszej analizy wrażeń. Wyrażam nadzieję, że nie weźmie mi za złe mojej szczerości, dodać natomiast muszę, że zupełnie usprawiedliwiam i rozumiem jego młodzieńcze negatywne nastawienie do szkoły i profesorów, cenię jego entuzjazm i wiarę we własne siły i zapewnić go mogę, że na tym świecie jest miejsce dla wszelkiego rzetelnego wysiłku.



Rysunek *Tadeusza Ilnickiego*

Żadna szkoła nie produkuje malarzy, ale na pewno dobra szkoła może naprowadzić na drogę, wiodącą do prawdziwej twórczości artystycznej.

WYSTAWA MALARSTWA TADEUSZA ILNICKIEGO

W Gallery One, przy 1, Litchfield Str., W.C.2 została otwarta we wtorek 4 maja br. wystawa obrazów Tadeusza Ilnickiego.

Piętnaście obrazów olejnych, wybranych starannie z dotychczasowego dorobku tego malarza i pokazanych po raz pierwszy w „prawdziwej galerii londyńskiej" jest dla Ilnickiego dużym sukcesem.

Wystawa urządzona z dużym smakiem wykazuje, że na dobre urządzenie wystawy niekoniecznie potrzeba dużych sum pieniędzy. Wystarczy umieć patrzeć i zestroić elementy wnętrza, jakim rozporządzamy, z wystawianymi eksponatami, przy czym nie należy upierać się przy wystawianiu więcej obrazów niż tego wymaga zasada przejrzystości pokazu.

Wystawa potrwa do 22 maja br.

Tadeusza Ilnickiego poznałem w pracowni M. Szyszko-Bohusza pięć lat temu. Przychodził wówczas bardzo pilnie w każdą niedzielę na studia rysunku z modela. Również nie brakowało go nigdy w grupie entuzjastów zwiedzania muzeów londyńskich, którą oprowadzał regularnie przez parę lat niezmordowany M. Szyszko-Bohusz. Ilnicki zwierzał mi się, że inteligentnej analizie dzieł mistrzów przeprowadzanej fachowo przez profesora zawdzięcza dużo. Pamiętam jego prace z tego czasu, bardzo jeszcze niezorganizowane, o których jego profesor wyrażał się, że obraz to nie płot i co godzi się wyczyniać na płocie, nie pasuje do płótna. Brał sobie wszystkie uwagi głęboko do serca, zarabiał na życie i na swoje malarstwo nocami, a dnie poświęcał wypoczynkowi i malarstwu. Kupował więcej i więcej tub z farbami, które natychmiast pokrywały jego płótna. Farby były drogie, ale nie żałował ich. Jego obrazy ważyły kilogramy.

Obserwowałem tę jego pasję malarską, podziwiałem zapał, czasem to i owo poradziłem i wierzyłem, że ta, bez precedensu chyba w dziejach sztuki praca malarza, musi wydać owoce.

Ilnicki uważa się za wychowanka Studium Malarstwa Sztalugowego Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie. Jest pierwszym dyplomantem tego Studium, jak też pierwszym malarzem, którego ono wydało, nagrodzonym nagrodą Kompanii Wartowniczych w Niemczech.

Najbardziej charakterystyczną i moim zdaniem najwartościowszą cechą malarstwa Ilnickiego jest jego materia malarska. Wyszukany i grubo położony kolor w sposób jemu tylko właściwy, zamienia się w czystą poetycką treść.

Skromny w codziennym życiu, Ilnicki nie goni również za efekciarstwem w swoim malarstwie. Jego tematyka, czy będzie nią człowiek, czy pejzaż jest dla niego tylko pretekstem, by użyć bogatej materii malarskiej. Tak więc powstaje człowiek-brodacz, którego złotawo-brązowawa broda zajmuje trzecią część całej powierzchni malowanego płótna, a w innym obrazie krowa zbudowana została z trapezów i trójkątów, wypełnionych soczystymi kolorami, zaś nos „Julci" (bardzo ładnego obrazu) jedynie zaznaczony został żółtawym konturem, bo dla Ilnickiego w tym wypadku istniała „Julcia" jako zjawisko kolorowe.

Tego rodzaju malarstwo, oglądane na zimno i mierzone miarą akademicka, może się wydać komuś wychowanemu na tradycjach sztuki renesansu — niezręczne, ale człowiek wrażliwy odgadnie, że brak majsterstwa mistrzów został tutaj zastąpiony wprost dziecinną szczerością odczucia świata poezji malarskiej i ta zamiana wychodzi obrazowi Ilnickiego na dobre.

* * *

Te dwie wystawy, które tylko przypadkiem zbiegły się w czasie, są wyraźnym dowodem pewnej bardzo konkretnej pracy, jaką spełnia Studium Malarstwa Sztalugowego pod kierownictwem prof. Mariana Szyszki-Bohusza, w kulturalnym życiu Emigracji.

Zygmunt Turkiewicz

ZOFIA KOSSAK

ZNIEWAŻONE OBLICZE

Dzieła rąk ludzkich dają się podzielić na dwie zasadnicze kategorie: rzeczy trwałych i nietrwałych. W tej klasyfikacji obowiązuje logika sprzeczna z normalnym ludzkim przewidywaniem. Bywają bowiem dzieła mądrze obmyślone, bogato wyposażone, zakrojone na szereg pokoleń, a więdnące już po narodzeniu. I na odwrót. Zdarzają się poczynania skromne, pozbawione środków, pozornie szalone, których żywotność urąga czasowi.

Podobnie dzieje się z ludźmi. Taki to, głośny i sławny spocznie rychło w lamusie, gdzie Historia składa zapomnianych, — ów zaś, cichy i ubogi unikający rozgłosu, pozostanie żywy, z każdym rokiem więcej aktualny.

Gdzie przyczyna tej różnicy? Zali nie w gatunku czynnika, bez którego żaden człowiek nic nie rozpoczyna: **ufności?** Ufność pokładana w swoim rozumie, swoich możliwościach, swojej władzy, lub ufność złożona w Bogu i tylko w Bogu?

Podobne refleksje nasuwają się przy czytaniu biografii Brata Alberta, pióra Marii Winowskiej. Kim był Brat Albert nie potrzeba społeczeństwu polskiemu objaśniać. Starzy stykali się z nim osobiście, młodzi słyszeli to imię wymawiane z szacunkiem przez starszych. Już za życia uważano go powszechnie za Świętego i tylko wybuch drugiej wojny światowej oraz położenie kraju opóźniły rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego.

Brat Albert, po świecku Adam Chmielowski, powstaniec 1863 roku, inwalida bez nogi, artysta malarz, opiekun ubogich... Niecodzienne koleje, niepospolita postać. Zdjęci podziwem pisali o Bracie Albercie: Żeromski, Nowaczyński, Pia Górska, Wyczółkowski i paru innych, każdy ze swego punktu widzenia. Po raz pierwszy jednak otrzymujemy pełną biografię, ukazującą nam rzeczowo, a zarazem przekonywująco dzieje Adama Chmielowskiego od kołyski do mogiły.

Pisanie o Świętych nie jest łatwym przedsięwzięciem. Sam dar pióra nie wystarcza. Trzeba tajemnicę świętości r o z u m i e ć. Do niedawna polska hagiografia pozostawiała wiele do życzenia. Miejsce starych naiwnych opowieści o Świętych, co w niemowlęctwie odmawiali ssania piersi matczynej w dni postne, zajęły pretensjonalne postacie wpatrzone w niebo z ckliwym uśmiechem na ustach. Podobnie jak pierwsze, dawały do zrozumienia, że Święci to ludzie ulepieni z innej niż ogół gliny, nie znający walk wewnętrznych, predestynowani do swej roli. Te konwencjonalne przykłady wypaczały pojęcie o najwspanialszej, najdziwniejszej przygodzie ludzkiej, jaką jest świętość.

Nie tutaj miejsce na maślane oczy, cukierkowe uśmiechy! Świętość to sprawa trudna, sprawa twarda. Dla osiągnięcia świętości, oprócz innych cnót, trzeba niemałego **męstwa**. Bez męstwa kroku na tej drodze nie postąpisz. Bo musisz odrzucić siebie dawnego, stać się człowiekiem zupełnie nowym. Każdy poród jest bolesny, ten pono najboleśniejszy.

Nie ma innej drogi do świętości niż Droga Krzyżowa. Takie jest prawo. Więc wczuć się w psychikę śmiałka wstępującego na ten gościniec królewski, będący zarazem najuciążliwszą wspinaczką, może tylko autor, co sam na tym szlaku stoi. Tylko pisarz żyjący wiarą, nadzieją i miłością może dać pełną żywą sylwetkę Świętego. Wtedy czytelnika przejmie dreszcz dumy, (...człowiek jak ja...), zazdrości (...czemu nie ja?...), zapału (...spróbuję i ja...).

A o to właśnie chodzi.

* * *

Adam Chmielowski jako małe dziecko ciężko zachorował i matka tracąc nadzieję w umiejętność ziemskich lekarzy powiozła umierającego synka do Mogiły pod Krakowem. Tam przed cudownym krucyfiksem ofiarowała go Bogu. Dzieciak wyzdrowiał i zgodnie z ówczesnym zwyczajem nosił przez pewien czas habit franciszkański.

Między tym zdarzeniem a okresem „wielkiej przemiany" minęło 40 lat, wypełnionych ciągłą zmianą miejsca, ciągłym poszukiwaniem samego siebie. Wiele z tego niepokoju można położyć na karb sytuacji kraju. Żandarmi rosyjscy szukają inwalidy powstańca (po amputacji nogi przyjaciele wynieśli go ze szpitala w trumnie jako rzekomo zmarłego; sposób, który odżył w czasie okupacji niemieckiej i bywał pomyślnie stosowany). Trudno jednak przypisać rządowi carskiemu przeskoki ze Szkoły Sztuk Pięknych na politechnikę w Gandawie, znów Szkoła Sztuk Pięknych w Krakowie, Monachium, gdzie wśród plejady przyszłych polskich mistrzów pędzla Chmielowski należy do najzdolniejszych, początki sławy, wstąpienie do Towarzystwa Jezusowego, niedokończony nowicjat, choroba duszna, Ukraina, zapał malarski, Trzeci Zakon, znów Kraków, sztuka i miłosierdzie...

Pisarz niekatolik podejmujący się tej biografii, musiałby z zakłopotaniem wyznać, że pierwsza połowa życia jego bohatera pełna jest nielogicznych sprzeczności i że „nagle" z niewyjaśnionych pobudek artysta malarz rzuca umiłowaną sztukę, by stać się „ojcem ubogich". Pisarz katolik inaczej patrzy na te sprawy. Tu i ówdzie zanotowana przez współczesnych wypowiedź, temat obrazu, fragment listu, prowadzą go na właściwy trop. To Łaska, niby strumień podziemny, drąży niewidocznie bogatą duszę artysty.

Malarz uwielbia piękno. Identyfikuje (mylnie) piękno ze sztuką. Dlatego gotów sztuce oddać całe życie. Lęcz tajemnicza, działająca w nim siła nie pozwala mu spocząć, nie pozwala być zadowolonym ze swego dzieła. Cóż, że inni je chwalą? On chce lepiej, głębiej... Szuka.

„Piękno Boże leży u początku wszystkiego co istnieje" — mówi św. Tomasz. Szukając wytrwale piękna, malarz znajdzie Boga. Przychodzi moment przygotowywany cierpliwie latami przez Łaskę, w którym Adam Chmielowski ujrzy Najwyższe Piękno. W jakiejże postaci? **W postaci nędzarza.** W bliźnim wyrzuconym poza nawias społeczeństwa, zepchniętym na dno upodlenia rozezna Znieważony Majestat Chrystusa. Nic się tu nie dzieje nagle lub niespodziewanie. Ruń wyrosła, dała kłos, z kłosa powstał chleb...

Raz ujrzane Oblicze nie znika. Oczami głodomora patrzy na malarza Chrystus. Żebrak kołaczący do drzwi stuka w nie dłonią Chrystusa. Chrystusowe stopy, obolałe kulasy włóczęgi. **„Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili".** Z prostotą św. Franciszka Adam Chmielowski wyciągnie konsekwencję z tych słów. Odtąd aż do końca swych dni będzie widział sponiewieraną boskość pod strupami nędzy i tak gorąco ukocha Chrystusa Pana, że przez tę miłość, zawszeni, cuchnący nędzarze staną się dlań najdroższymi dziećmi.

Nie ma już Adama Chmielowskiego — niespokojnego poszukiwacza Piękna. Jest **Brat Albert.** Czego szukał — znalazł. Gdzie dążył — doszedł. Tchnie radością i pogodą, które mu nigdy nie zostaną odebrane.

Książka Winowskiej operuje faktami, dokumentami. Dokumenty piszą niezamierzoną satyrę. Kraków ostatnich lat **XIX** wieku jest nie tylko miastem hrabin i kościołów, lecz miastem nędzy. Na przedmieściach koczują bezdomni. Miejski dom noclegowy zwany Ogrzewalnią, przepełniony głodnym, bezrobotnym tłumem, to piekło, buchające smrodem, ohydnymi przekleństwami. Nie można tam wejść bezkarnie inaczej — niż pod osłoną policji.

W ten sposób Brat Albert ujrzał pierwszy raz to wnętrze. Wyszedłszy na świeże powietrze z przeraźliwego zaduchu, rzekł do przyjaciół:

„Muszę tu zostać. **Nie mogę ich tak zostawić".**

I został. I zadomowił się. Dzielił z mętami społecznymi brud i wszy. Lecz by móc skutecznie działać, potrzebował zezwolenia magistratu. Prześwietna Rada Miejska wysłuchuje petycji tercjarza niechętnie. Kaleka, nic nie posiada prócz dziesięciu palców, a czego mu się nie zachciewa! Chce mieszkać stale w Ogrzewalni, gotować raz na dzień zupę dla jej mieszkańców, starać się dla nich o odzienie, czuwać nad ich zdrowiem fizycznym i duchowym. W zamian za to nic dla siebie nie żąda. Nie oczekuje żadnej dotacji. Będzie się starał sam. Dobrzy ludzie mu pomogą.

Radcowie są zaskoczeni. Nie rozumieją dziwnego człowieka i dla pewności dają odpowiedź **odmowną.** Niech zostanie po staremu. Z zamierzonych inowacji wyniknęłyby kłopoty. Włóczęgom przewróciłoby się w głowie. Nie! Na szczęście starozakonny radca z Kaźmierza, Birnbaum słuchający dotąd w milczeniu, wybucha skubiąc nerwowo pejsy: Nu, co jest, panowie? Panowie powinni ręce tego pana całować, za to, co on chce zrobić, a nie odmawiać; Nu, to jest wstyd!

Nieco zmieszani, radcowie przystają. Początki są bardzo ciężkie. Opinia górnej części społeczeństwa oburzona „szaleństwem". (...Z kryminalistami, panie dobrodzieju, za pan brat! Z kryminalistami!) Opinia artystów oburzona „zdradą" (okrzyk Witkiewicza: Adam rzucił Sztukę dla opuchlaków!). Opinia dołów zaniepokojona wtargnięciem w ich środowisko nieznajomego czynnika.

Wśród przeciwności błyskają z rzadka piękne epizody. Do takich należy pierwsza albertyńska kwesta.

Jest wiosna 1890 roku. Na plantach krakowskich drzewa okryły się już mgłą seledynową. Seledyn to świt zieleni. Lśnią lepko pąki kasztanów. Brat Albert prowadzi chudą szkapę zaprzężoną do dwukółki, postukuje drewnianą nogą po bruku, zatrzymuje się przy każdych drzwiach prosząc o datek na zupę dla „opuchlaków". Nie wiele dotąd uzbierał, niewiele. Lecz wjeżdża na Plac Szczepański. A tam przekupki już o nim słyszały. I zanim zdążył przemówić, sypią do biedki ziemniaki, kapustę, cebulę, buraki, wtykają torby z kaszą, mąką, grochem... Pyskate megery potrafią być hojne, gdy chcą. Rozpromieniony Brat Albert dziękuje im, dziękuje, z trudem powstrzymując łzy wzruszenia.

Z Placu Szczepańskiego wyładowana dwukółka zdąża na Franciszkańską do pałacu arcybiskupiego. Wjeżdża śmiało na uroczysty dziedziniec, niezwykły takich widoków. Dziwi się służba, gorszy ksiądz sekretarz, lecz na krużganek wychodzi sędziwy kardynał Dunajewski. Zgięty w pół, bo od czasu gdy w Spielbergu dźwigał kilkudziesięciofuntowe kajdany, nie może się wyprostować, schodzi na dół, błogosławi kwestarza, dwukółkę, dary, ofiarodawców i tych, co dary te spożywać mają. To Kościół sam w osobie swego dostojnika udziela ojcowskiej aprobaty zaczętemu dziełu. Obaj ci ludzie, kardynał i tercjarz w grubej guni, są bliscy sobie, rozumieją się wzajemnie. A uszkodzony kręgosłup pierwszego, drewniana noga drugiego, znaczą ich niby stygmaty polskości.

* * *

Aktualność książki o Bracie Albercie jest wielka i różnorodna. Dziś, gdy opinia całego świata katolickiego śledzi z bólem rozwój sprawy „księży-robotników", uderza przenikliwość człowieka, który przed 50 laty problem ten osądził i zrozumiał. O czym świątobliwy kardynał Suhard zapomniał, Brat Albert pamiętał i wiedział. Wszak kardynał Sapieha (wówczas metropolita) chciał Adamowi Chmielowskiemu udzielić święceń kapłańskich spełniając w ten sposób najgorętsze jego marzenia i Brat Albert odmówił. Odmówił tego, czego najwięcej pragnął. Bo nie chciał — jak sam powiadał — oddalić się od swych ukochanych „batiarów". — „Ksiądz — tłumaczył — nie może zejść tam, gdzie ja zejdę. Nie może ocierać się o to, o co ja się ocieram. Pomiędzy dnem nędzy a stanem ka-

(Dokończenie na str. 4)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 30 maja 1954.

TEATR

„WIĘZIEŃ"

Kardynał Kościoła rzymskiego aresztowany, badany i skazany; bohater narodu przyznający się po śledztwie do największych zbrodni i słabości; to temat dobrze znany w rzeczywistości lat ostatnich, ale zdawało by się niemożliwy do wyrażenia już teraz w dziele sztuki. A jednak na to właśnie porwała się katolicka pisarka angielska Bridget Boland, autorka szeregu powieści, sztuk teatralnych i scenariuszy filmowych, w swym dramacie **The Prisoner**, który po premierze edynburskiej w marcu wszedł 14 kwietnia na deski teatru Globe w Londynie (na okres ograniczony ze względu na to, że występujący w roli tytułowej Alec Guinness będzie po 5 czerwca zajęty pracą filmową).

Z miejsca przyznać trzeba, że p. Boland odniosła pełny sukces w potraktowaniu tak trudnego i niebezpiecznego tematu. Zwykłe przyjęcie, z jakim spotkała się jej sztuka ze strony publiczności, jest tym bardziej znamienne, jeśli zważymy, że **The Prisoner** zupełnie odbiega od gustów tutejszych widzów. Dramat ten nie jest łatwą rozrywką, przeciwnie, przez swą koncentrację psychiczną i odarcie z elementów ubocznych i dekoracyjnych, stanowi dla widza dość wyczerpujący wysiłek, ale i silne przeżycie. Akcja, tocząca się w jednej z europejskich stolic, w średniowiecznym zamku obecnie używanym jako więzienie, ograniczona jest do celi więziennej i pokoju, w którym odbywają się przesłuchania. Spośród dziewięciu ról tylko trzy są mówione. Cała sztuka ogranicza się do śledztwa i jego skutków dla badanego i dla badającego oraz do komentarza stojącego na uboczu strażnika.

Autorka dała nam więc sztukę wąską w zakresie, ale sięgającą głęboko. Dała sztukę mocną, „męską", pozbawioną wszelkiego sentymentalizmu, łezki, zbytecznego gadulstwa, pozbawiona także — trzeba to przyznać — tendencji do gloryfikowania czy heroizowania swego bohatera. Nie poszła na łatwy optymizm, ukazała problem bardziej skomplikowany niż prosta linia: męczeństwo-kanonizacja. Jej bohater nie jest z granitu, lecz składa się przede wszystkim z ludzkich słabości. W tym sensie dramat jej łączy się w swych założeniach i metodzie z twórczością najwybitniejszych współczesnych pisarzy katolickich. Można zarzucić autorce techniczne nieścisłości w szczegółach, można nie zgadzać się z jej interpretacją politycznych śledztw. Ale przyznać trzeba, że rozważa problem w sposób inteligentny, bezstronny (tj. bez tendencji propagandowych) i że dramat jej stanowi duże osiągnięcie artystyczne dzięki temu, że zdołała utrzymać uwagę i napięcie widza przez cały czas trwania sztuki, mimo tak wielkiej oszczędności środków i wąskiego zakresu akcji.

Pani Boland przedstawiła śledztwo jako rodzaj psychoanalizy, przeprowadzonej nie po to, żeby pacjentowi pomóc, ale żeby go zniszczyć. A że ta psychoanaliza odbywa się, zwłaszcza w pierwszym stadium, bez współpracy pacjenta i wbrew jego woli, jest ona ciężkim przeżyciem także i dla sędziego, który śledztwo prowadzi. Kardynał zostawił swym księżom oświadczenie do opublikowania na wypadek, gdyby nie wrócił, w którym stwierdza, że ewentualne wyznanie, jakie włożone zostanie w jego usta, będzie wymuszone i nieprawdziwe. Po aresztowaniu zostaje skonfrontowany ze swym sędzią śledczym, którym okazuje się jego dawny znajomy: lekarz-adwokat, z pochodzenia arystokrata. Przy pierwszym przesłuchaniu panuje atmosfera beztroska i niby przyjazna. Kardynał jest pewien siebie, choć pozbawiony złudzeń. Obaj znajdują sprawią pewną przyjemność szermierka słowna. Sędzia z miejsca przedstawia kardynałowi przygotowane zawczasu „przyznanie się do winy", którego podpisania ten oczywiście odmawia. Zaczyna się długa procedura preparowania więźnia, którego widzimy w dziesięciu scenach na zmianę w celi i pokoju przesłuchań. Nie stosuje się tortur fizycznych ani narkotyków. Jedyną presją jest stanie, planowe osłabianie woli i poczucia świadomości przez pozbawienie więźnia snu na długie okresy, słabe odżywianie, jaskrawe światło i zupełną ciemność, długie i nużące badania o rozmaitych porach, tricki prowadzące do dezorientacji w czasie, wreszcie zastraszanie i szok. Krok po kroku obserwujemy stopniowe łamanie mocnego ducha, degradację psychiczną wybitnej osobowości. Wszystkie te czynniki są tłem i pomocą do głównego procesu zbrodniczej psychoanalizy, jakiej sędzia śledczy dokonuje na kardynale.

Stosunek tych dwóch do siebie — ofiary i oprawcy — jest osią całej sztuki. A trzeba przyznać, że obie role są przez autorkę dobrze pomyślane i napisane. Sędzia od razu na wstępie wyjaśnia kardynałowi, że państwu chodzi o unicestwienie legendy bohatera narodowego, jaką opromienia go z powodu jego decydującej roli w ruchu oporu podczas okupacji niemieckiej. Ale dodaje, że on sam określa ich wzajemny stosunek jako lekarza i pacjenta: kardynał podlega jest kuracji dla swego własnego dobra. Kwestia ta traktowana z początku żartobliwie staje się przez upartą konsekwencję sędziego i wywieraną na więźnia presję, groźną rzeczywistością. Posługując się szerokim materiałem perswazji — od przyjaznej dobroci i własnych, niby-szczerych zwierzeń, do wulgarnych metod w rodzaju wniesienia trumny z rzekomo zmarłą, w rzeczywistości uśpioną, matką kardynała — sędziemu udaje się wedrzeć do podświadomości więźnia. Gdy kardynał, znajdując się na granicy obłędu, traci jasne poczucie granicy między stanami psychicznymi, sędziemu udaje się uzyskać „przyznanie się" do win niepopełnionych i wmówić to, co potrzebne jest na procesie. Kardynał był synem kobiety dość lekko się prowadzącej, wychowanym w zapachu ryb, kradnącym jako dziecko ołówki i książki, żeby móc się uczyć. Twardym swym życiem chciał zatrzeć pamięć tych rzeczy. Po tej linii właśnie sędzia poprowadził atak i wmówił więźniowi, że nienawiść i pycha były głównymi motywami jego działania i pięcia się w górę. A jeśli dla niskich pobudek dorabiał się duchowych godności i aury bohatera, nie było trudno doczepić przyznanie się do zdrady w czasie wojny na rzecz Niemców, a po wojnie do spisku przeciw państwu. W rezultacie kardynał sam się potępia i skazany zostaje na karę śmierci, lecz później z wyrachowania uwolniony.

Między więźniem i sędzią wytworzył się w ciągu śledztwa stosunek dziwnie bliski, chciało by się rzec: duchowej wspólnoty. Sami zauważyli, że są jakby obu stronami tego samego medalu. Istota tej wspólnoty polegała na tym, że przez pewien czas złączeni byli bardzo intensywnie swoją „sprawą", swymi zwierzeniami, czymś, co należało tylko do nich, do nikogo innego na świecie. Istniał także między nimi szacunek osobisty, swoista przyjaźń. Gdy kardynał w środkowym stadium śledztwa przez dłuższy czas pozostawiony był w swojej celi, oczekiwał bram swoich rozmów z sędzią tak dotkliwie, że błagał o zobaczenie się z nim. A gdy po cofnięciu wyroku śmierci kardynał wahał się przed wyjściem i staniem twarzą w twarz z tłumami, które dowiedziały się całej „prawdy" o nim, sędzia podejmuje się zastrzelić go, by uwolnić go od tej ewentualności. Ale choć kardynał pragnie śmierci, nie wolno mu prosić o morderstwo. Kto właściwie przegrał to śledztwo? Sprawa jest jasna: sędzia zdając sobie sprawę ze swej sympatii dla kardynała, składa rezygnację ze służby w tajnej policji i wie, że oznacza to jego koniec. Kardynał wychodzi z więzienia bez aureoli na spotkanie ludu, który jest jego „ofiarą, sędzią i przyszłością".

Więzień został wystawiony dobrze. Reżyser Peter Glenville kierował kompetentnie i żywo akcją, zaś podwójną scenę z dekoracjami celi i pokoju oświetlanymi zależnie od tego, gdzie odbywała się akcja i umożliwiającymi kontynuację bez przerw, projektował Felix Labisse. Muzykę, która należycie uwydatniała atmosferę sztuki, skomponował Roberto Gerhard. Aktorzy występujący w rolach niemych: Richard Easton, Colin Douglas (żołnierze eskorty), Timothy Findley (sekretarz sędziego). Kenneth Edwards (doktór), John Gill (fryzjer), Lilian Moubrey (matka) nie mieli dużych możliwości, ale trzy role mówione z powodzeniem trzymały ciężar sztuki.

Alec Guinness jest aktorem wysokiej klasy. Czuje się on równie dobrze w dramacie klasycznym czy w komedii, w filmie czy na scenie. Swoje możliwości w ramach nowoczesnego dramatu psychologicznego wykazał znakomitym zagraniem roli psychoanalityka dr. O'Reilly w **The Coctail Party** (1950). Jego najnowsza kreacja kto wie czy nie zaćmiła tamtej i czy nie jest jedną z najlepszych interpretacji scenicznych, jakie mieliśmy możność oglądać w ostatnich latach. Rola kardynała jest ciekawa, ale długa i bardzo trudna. Guinness przemyślał ją do najdrobniejszego szczegółu i wczuł się w nią głęboko. Jego kardynał jest człowiekiem bardzo inteligentnym, obdarzonym subtelnym poczuciem humoru, mocą ducha i godnością. Załamywanie się w miarę rozwoju śledztwa zostało oddane przekonywująco i wzruszająco. Widz znajduje się w zupełności pod urokiem niezapomnianej w swym realizmie i głębi interpretacji Guinnessa.

Jest wspólną zasługą pani Boland i aktora, że Noel Willman w roli sędziego nie blednie obok Guinnessa. Jego interpretacja sprawia wrażenie głębi: Willman umiejętnie przedstawia człowieka nieszczerego w swej pozornej otwartości, który w najtajniejszym zakątku swej jaźni toczy z sobą cięższą walkę niż ze swą ofiarą.

Doświadczony aktor Wilfrid Lawson gra ze zręcznie przytłumionym komizmem rolę strażnika celi, który w ciągu kilkudziesięciu lat służby pod zmieniającymi się ustrojami widział wielu skazanych, którego nic nie dziwi ani nie wzrusza. Drobna rola, ale charakterystyczna i ważna: konflikt ideologii i psychologiczne dociekania uzupełnia głosem niby zdrowego rozsądku, czy też codziennością życia.

Bridget Boland dała nam sztukę ciekawą pod każdym względem: jako eksperyment dramatyczny o akcji wąskiej a nastawionej w głąb; jako próbę interpretacji śledztwa w sensie psychoanalizy, z katolickiego punktu widzenia, ciekawą ze względu na swój temat. Oczywiście, jak każde dzieło sztuki, **Więzień** nie jest autorytatywnym rozwiązaniem problemu: sprawa pozostaje otwarta. Zwolennicy prostych rozwiązań w stylu: sędzia równa się bezduszna machina tortur; kardynał równa się niewinnie prześladowany męczennik, nie zadowolą się ujęciem obu jako ludzi i twierdzeniem, że na dnie śledztwa może być ziarno prawdy, które jest rozdmuchane i zniekształcone, prawdy „zwariowanej". Ale każdy myślący katolik winien starać się w miarę możności zobaczyć sztukę, która jest ważną pozycją w katolickim repertuarze dramatycznym i jeśli nie jedyną, to w każdym razie cenną interpretacją poruszonego problemu.

Bolesław Taborski

NASTĘPNY NUMER „ŻYCIA"

BĘDZIE MIAŁ 6 STRON Z DODATKIEM „ŻYCIE KRAJU"

CENA 1/6

ZNIEWAŻONE OBLICZE

(Dokończenie ze str. 3)

płańskim, musi istnieć stopień pośredni: Trzeci Zakon. Do tego celu powołali go święci założyciele. To jego zadanie. Trzeci Zakon ma przyprowadzić pod próg Kościoła to, co odpadło. Wtedy ksiądz dokona reszty..."

(... Trzeci Zakon... Potężny oręż Kościoła zapomniany, zdeklasowany. Do niedawna określenie: tercjarka, tercjarz oznaczało w opinii powszechnej bigoterię, złośliwość i ciasnotę. W czasie wojny w Polsce dał się odczuć prąd odrodzenia Trzeciego Zakonu, prawdopodobnie prąd ten pogłębia się nadal, lecz jakże to jeszcze dalekie od roli, którą przeznaczali tercjarzom św. Franciszek i św. Dominik!)

Niemniej uderzające jest jasnowidztwo Brata Alberta w kwestii socjalnej. W czasach jego działalności Europa zdawała się ustabilizowana, zasobna, bezpieczna. On przeczuwał katastrofę. Wielokrotnie dawał temu wyraz. — "Chłop na wsi — mówił — nie odmówi noclegu i posiłku żebrakowi, z obawy, że odprawiony z niczym, może przez zemstę podpalić zagrodę. Społeczeństwa dzisiejsze nie mają tego zdrowego rozsądku. Przygotowują hordy podpalaczy..."

— „To co robimy — twierdził — jest ważne na dziś. Jeszcze ważniejsze okaże się **na jutro**..."

„By sprostać czasom, które nadchodzą, trzeba się wyrzec ducha posiadania. Nie posiadać nic, nic... Nie przywiązywać się do dóbr materialnych. Tylko wtedy można będzie zwalczać zło, które się zbliża..."

W Poroninie mieszkał wówczas Lenin. Włodzimierz Uljanow i Brat Albert wiedzieli o sobie. Nie wiemy czy spotkali się kiedy bezpośrednio. Mogli się spotkać, gdyż mieli wspólnych znajomych. Jeśli tak było, rozmawiali może o rzeczach zdawkowych, musieli jednak krzyżować błyskawice myśli. Obaj promieniowali potężnie. Jeden miłością, drugi nienawiścią. Obu wspólne było oburzenie na krzywdę społeczną. Obaj chcieli ją usunąć. Lecz gdy Brat Albert pragnął być chlebem, dobrym chlebem, dostępnym dla każdego, udzielającym się każdemu (kto chce niech bierze i je...), Lenin chciał być katem. Brat Albert szanował i kochał najlichszą istotę ludzką, najmniejsze stworzenie Boże, Lenin uważał wzgląd na jednostkę za słabość, godną pogardy. Brat Albert modlił się o zbawienie każdej duszy, o panowanie Ducha Wolności i Prawdy, Lenin podporządkowywał całą ludzkość posępnej teorii...

Poświęcenie bieżącego roku Maryi, Matce Najświętszej, jest trzecią przyczyną szczególnej aktualności Brata Alberta. Podobnie jak O. Maksymilian Kolbe, Br. Albert należy do świętych maryjnych. Matka Boża jest jego Przełożoną, Fundatorką Zgromadzenia. Opiekunką, zarówno w prawach duchowych jak w sprawach aprowizacji. Królową i Panią. Jej ufa, do Niej w każdej potrzebie się zwraca, od Niej wspomożenia czeka. Czyż Bóg nie uczynił Jej Strażniczką życia? Czyż trwałość i rozwój każdej instytucji nie zależą od Jej udziału w danym dziele? W notatce ręką Brata Alberta pisanej czytamy: „...Matko Najświętsza, biorę Ciebie za Patronkę wszystkich moich trosk. Chcę pracować dla Twej chwały, oddając Ci cały mój czas i całą wieczność. Twoim jestem. Udziel mi co raczysz lub nic nie dawaj, jeśli taka Twoja wola..."

* * *

Krótka i niedokładna niniejsza relacja nie daje wyobrażenia o całości książki. Promienną postać kaleki otaczają współpracownicy i współpracowniczki uzasadniający starą maksymę, że „żaden Święty nie idzie do Nieba sam". Od swego założyciela przejęli pogodę, wynikającą z doskonałej ufności, tej ufności, co gdy w Bogu jest złożona, zapewnia dziełu nieprzemijającą trwałość.

* * *

Na zakończenie informacja wcale nie wesoła. Ta piękna książka, napisana przez polską autorkę, o polskim bohaterze, przyszłym polskim Patronie, tchnąca z każdej kartki polskością, ukazała się na razie — po francusku. (**Frère Albert au la Face aux outrages**, Editions Vieux Colombier.) Taka jest dola polskich katolickich pisarzy.

Tej samej autorki, równie wartościowa biografia O. Maksymiliana Kolbe, napisana przed paru laty, wyszła również po francusku (Le Fou de Notre Dame, Editions Bonne Presse), odniosła wielki sukces, została przetłumaczona na kilkanaście języków i nareszcie obecnie ma się ukazać po polsku. Miejmy nadzieję, że „Życie Brata Alberta" dotrze również po pewnym czasie do rąk polskiego czytelnika.

Z. K.

N O T A T K I

OBCHÓD dziesięciolecia bitwy o Monte Cassino w londyńskim Albert Hall składał się z dwu części: tzw. oficjalnej i tzw. artystycznej.

Część pierwsza była wielkim sukcesem organizatorów. Na olbrzymiej sali, wypełnionej do ostatniego miejsca, znalazło się wielu wybitnych gości. Szczególną wymowę posiadała obecność czołowych przedstawicieli armii brytyjskiej, wśród nich szefa sztabu imperialnego, marszałka polnego Sir Johna Harding. Oświadczył on prasie po manifestacji, iż wziął w niej udział, ponieważ walczył z Polakami w czasie wojny. „Mam wielki podziw — dodał — i sympatię dla nich." („Evening Standard" z 17. 5. 1954).

Przywódcy wolnego świata, prezydent Stanów Zjednoczonych D. D. Eisenhower i premier brytyjski Sir Winston Churchill nadesłali piękne pisma, które tu w całości przytaczamy.

LIST PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH DWIGHT D. EISENHOWERA DO GENERAŁA W. ANDERSA

Biały Dom, dnia 7 maja 1954.

Drogi Panie Generale!

Z prawdziwą przyjemnością odpisuję na list Pana w sprawie obchodu rocznicy bitwy pod Monte Cassino.

Ta sławna bitwa symbolizuje bohaterstwo i poświęcenie polskich żołnierzy w ostatniej wojnie, toczonej przeciw siłom totalizmu w Europie. Przez długie lata będzie ona stanowiła symbol niezniszczalnego umiłowania wolności narodu polskiego.

Dzisiaj ten naród znowu znajduje się pod obcym uciskiem i znosi tę próbę z takim samym bohaterstwem. My w Ameryce jesteśmy pewni, że ta odwaga i wiara w wolność nie pójdą na marne i że sprawa wolności i sprawiedliwości zwycięży, tak jak zwyciężyła przed dziesięciu laty pod Monte Cassino.

OŚWIADCZENIE PREMIERA W. BRYTANII SIR WINSTONA CHURCHILLA

4 maja 1954

Dziesięć lat temu, armie pod dowództwem Lorda Alexandra, w jednej z wielkich kampanii wojennych we Włoszech, walczyły o zdobycie stolicy włoskiej. Warunkiem tego wielkiego osiągnięcia było zniszczenie niemieckiego punktu obronnego na wyżynach Monte Cassino. Końcowy sukces tej operacji w bardzo znacznym stopniu przypisać należy dzielnemu i wybitnemu udziałowi w niej żołnierzy Drugiego Korpusu Polskiego, którzy walczyli przy boku swych brytyjskich towarzyszy broni. Nie muszę podkreślać, jak mocno ich wyczyn poruszył w owym czasie uczucia ich sprzymierzeńców i jak bardzo porusza on nasze wspomnienia w tę dziesiątą rocznicę.

Była to pierwsza wielka akcja, w której uczestniczył Drugi Korpus Polski. Korpus odznaczył się wybitnie zarówno pod Monte Cassino jak i podczas dalszych działań kampanii włoskiej. Z okazji rocznicowej uroczystości, pragnę więc złożyć wyrazy uznania polskim żołnierzom oraz ich dowódcy Generałowi Andersowi.

Poza tym nadeszły pisma od: marszałka lorda Alexandra, gen. A. Gruenthera, głównodowodzącego siłami zorojnymi NATO, marszałka Juin i przywódcy wolnych Węgrów, b. premiera Csaky.

Uroczystość przeszła poważnie, sprawnie, godnie. Wiecowe okrzyki są w atmosferze angielskiej wyraźnym dysonansem, ale zebrani koniecznie pragnęli wypowiedzieć swoje uczucia: wznosili okrzyki na cześć przyszłego, a nie obecnego Prezydenta R.P. Gen. Sosnkowski nie był obecny na sali, ale myśli wszystkich biegły ku niemu.

Gen. Anders, mianowany tuż przed manifestacją generałem broni, wygłosił przemówienie, w którym m. in. domagał się powołania do życia polskich jednostek NATO. Wprawdzie obecni na sali kombatanci nie mieli wyglądu małoletnich zuchów, ale sztandary lśniły niepokalaną bielą i czerwienią jak nowe. W tej ich świeżości była cała symbolika uroczystości i wiary Polaków.

Że nasza obecność posiada na Zachodzie znaczenie, o tym świadczą zarówno przytoczone pisma, jak i echa prasowe obchodu. Prasa brytyjska zwróciła pilną uwagę na uroczystości w Albert Hallu, a nieprzychylny nam „Evening Standard" był nią wyraźnie zaniepokojony, wysyłając reporterów po oświadczenia do brytyjskich generałów, uczestników uroczystości.

* * *

CZĘŚĆ druga obchodu, artystyczna, została przygotowana i wykonana ambitnie i z dużym wysiłkiem. Było to widowisko pt. „Czerwone maki", złożone z szeregu „żywych obrazów", skomponowane na wzór „Betlejem Polskiego" Rydla i zrytmizowane w stylu Wyspiańskiego.

Choć w „Betlejem Polskim" Herod, Żyd, Śmierć i Diabeł stale mówią te same kwestie i powtarzają te same gesty, co rok chętnie przedstawienie oglądamy, może właśnie dlatego, że z góry wiemy, czego się po nim spodziewać. Z góry też można było przewidzieć, że żołnierz spod Monte Cassino „w gaju oliwnym" będzie chodził okrakiem i że beret będzie mu spadał na oczy, że szef będzie na chłopców ryczał, że Zofia Terne zaśpiewa o Warszawie, Lawiński o Lwowie, a ochotniczka Helenka wykona taneczne pas do zabawnej piosenki, że żołnierza AK będzie grał Edward Chudzyński, a Kordeckiego Józef Bzowski, ale sprawiedliwie trzeba przyznać, że było to ze wszystkich dotychczasowych widowisk patriotycznych — najlepsze. Treść wcale skromna, poza okrutnym „Credo żołnierza", gdzie „mirażem" zrymowano ze „zbrodniarzem", wykonanie wzorowe, dykcja pierwszorzędna, żadnej lataniny po scenie, śliczna pieśń AK „Szumi las", oryginalna muzyka Ref-Rena do poematu „Via Appia" Wierzyńskiego, sugestywne recytacje Ireny Kory Brzezińskiej i Z. Blichewicza, dobre chóry (Z. Gedel i H. Hosowicz) i orkiestra (Polska Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Czesława Kaznowskiego). Dekoracja St. Mikuły była doskonałym tłem dla obu części — artystycznej i historyczno-politycznej. Widowisko ułożył Ref-Ren. Następne ułoży Hemar.

* * *

POLITYKA jest podobno trudną sztuką i dla nas, szarej masy żołnierskiej i cywilnej, prawie tak nieczytelną jak awangardowa poezja. Z drugiej strony jednak politycy ustawicznie głoszą, że są wyrazicielami li-tylko woli narodu (na lewicy mówi się: ludu).

Język polityczny jednakże przypomina technikę pracy łączności w wojsku. Posługuje się albo „clairem" albo szyfrem. Być może więc, że notatka poniższa mija się z celem, gdyż Pan Generał — być może — mówił szyfrem i nie ma powodu niepokoić się biorąc rzecz dosłownie.

Umówiliśmy się, że obecna granica zachodnia Polski jest nienaruszalna, a Ziemie Odzyskane są wieczystą dzierżawą Rzeczypospolitej. Więc też zdziwienie musiały wywołać odpowiedzi Generała Wł. Andersa w czasie konferencji dla prasy obcej w dziesięciolecie bitwy o Monte Cassino (klub „Orła Białego", środa 12 maja) na temat naszej granicy zachodniej, na pytania stawiane przez korespondentów prasy niemieckiej.

Po pierwsze trudno się zgodzić z faktem zapraszania Niemców na polskie konferencje polityczne, skoro do tej pory z Niemcami nie zawarliśmy traktatu pokojowego, a ich wroga postawa wobec całości naszego Kraju jest doskonale znana.

Po wtóre gen. Anders na zapytanie „clairem": „Co Pan Generał sądzi o obecnej polskiej granicy na zachodzie?" odpowiedział szyfrem, raz mniej więcej następująco: „W tej chwili ważna jest nie sprawa granic, lecz walka z komunistami", drugi raz następująco: „Nasze granice będą dyskutowane na przyszłej konferencji pokojowej łącznie, zachodnie równocześnie ze wschodnimi". Na wyraźne pytanie, czy Generał uważa, tak jak Mikołajczyk „and other Polish leaders", obecną granicę zachodnią za ostateczną, Generał nie dał odpowiedzi: „tak".

* * *

ABY ZAŚ obcy dziennikarze nie mieli żadnej wątpliwości, prezes Związku Dziennikarzy, P. Bolesław Wierzbiański, który konferencję zorganizował, dodał od siebie następujący komentarz: „Polska to jest kraj 25-milionowy. My nie chcemy być tak zwanym krajem kiełbaskowym („sausage country"), więc dyskutować możemy tylko o wszystkich granicach równocześnie.

Trudno dociec, czyj pogląd wyraził Prezes Wierzbiański: czy Związku Dziennikarzy, czy jakiejś partii politycznej, czy swój. Najszczęśliwsza byłaby ta ostatnia ewentualność.

* * *

WYSTAWA z okazji dziesięciolecia największego zwycięstwa polskiego w drugiej wojnie światowej, zorganizowana została przez Instytut im. Gen. Sikorskiego na kolanie. Garsteczka okazów, wybranych na chybi trafi, nie świadczy pochlebnie o ambicji organizatorów. Słusznie gen. Marian Kukiel wypowiedział prywatną uwagę, iż to nie tyle wystawa, co dekoracja do rocznicowego zebrania.

Skromność i ubóstwo, to jeszcze cechy sympatyczne. Ale pompa i fanfaronada, to już inna kategoria.

W jednej z gablot umieszczono pieczołowicie podklejony tzw. w wojsku fonogram następującej treści: „ŻOŁNIERZE 12 PUŁKU UŁANÓW PODOLSKICH. ZAWIADOMIĆ UŁANÓW. PUŁK ZDOBYŁ KLASZTOR. PROPORCZYK POWIEWA. SZEF DTWA PUŁKU BANDAŁA PAWEŁ ST. WACHMISTRZ."

Starszy wachmistrz powinien wiedzieć, że „zdobywa się" przedmiot w natarciu, a „opanowuje się" go bez walki. Załoga klasztoru Monte Cassino poddała się w wyniku siedmiodniowej bitwy, w której padło 923 i rannych było 2930 żołnierzy z dwu dywizji i jednej brygady 2 Korpusu. Patrol z proporczykiem był bardzo miłym incydentem bez znaczenia bojowego, a wspaniały Pułk Ułanów Podolskich ma nieporównanie piękniejsze karty w swych dziejach, m. in. i w akcji pod Monte Cassino.

Ale cóż się dziwić st. wachmistrzowi, skoro historycy wojskowości traktują sentymentalne meldunki jako wielkiej wagi historyczne dokumenty?

J. B.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12. Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego. c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście - 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlinska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie.** 12, Rue St. Louis-en-l'Ile. Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P. M. K.**, Schorsmolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Av., Montreal 6; **International Book Service**, 57, Queen Street W., Toronto 1 **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr 4. Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"** — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz **M. Kijowski** — 13171, McDougall. Detroit 12, Mich, oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Fillmore Ave, Buffalo 12,, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr. B. Kurowski** — Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme. Z. Bulhak-Jelska** — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.